

WIS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 4 grudnia 1949 r.

Nr 49 (228)

DYZMA GAŁAJ

KLASOWY CHARAKTER POLITYKI AGRARNEJ

Polityka agrarna w państwach o klasowej strukturze społecznej reprezentuje zawsze interesy klasy panującej i zmierza do podporządkowania interesom klasy panującej dążeń i potrzeb klas antagonizujących.

Dlatego też w dziedzinie polityki agrarnej, a więc w sprawach: cen produktów rolnych, kredytów rolniczych, regulacji stosunków między dworem a wsią, pracy najemnej w rolnictwie, parcelacji, komasacji, cel na produkty rolne, premii wywozowych, kontraktów rolnych itp. toczy się ostra walka klasowa między antagonistycznymi klasami społeczeństwa: klasą kapitalistów - wyzyskiwaczy i klasą proletariatu - wyzyskiwanymi.

Dokładna analiza przebiegu tej walki klasowej jest niełatwa, ze względu na to, że na politykę agrarną mają również wpływ dążenia warstw pośrednich (drobnomieszczaństwa, małego i średniorolnych chłopów), oraz przejściowe, niezasadnicze rozbieżności, jakie zachodzą nieraz w łonie klasy kapitalistów między obszarnikami a kapitalistami przemysłowymi.

Np. z punktu widzenia interesów junkierskiego, wysoko skapitalizowanego pruskiego gospodarstwa rolnego, istota polityki agrarnej polegała m. in. na takich zabiegach gospodarczych i politycznych, aby kapitalistyczny folwark miał zabezpieczoną możliwość swobodnego korzystania z sił najemnych. Ta właśnie potrzeba zmuszała w Niemczech junkrów-dzielników do starannego czuwania nad sprawą emigracji ludności wiejskiej do miast, importowania sił roboczych ze stron posiadających ludność zbytnią, lub z innych krajów np. z Polski — zmuszała ich do wydawania ustaw o obowiązkach i prawach robotników rolnych, ustaw, które miały zabezpieczyć obszarnik-kapitalistę przed niespodzianką odejścia od roboty na folwarku i przed niebezpieczeństwem strajków fernali. Ta potrzeba zmuszała również do odpowiedniego traktowania wykwalifikowanych robotników np. obustujących bardziej skomplikowane maszyny rolne.

Natomiast interes kapitalisty przemysłowego dominującego w średnim stadium kapitalizmu, siedzi w przeciwnym kierunku — sędzi przeciwko protekcjonizmowi, przeciwko drożyznie produktów rolnych, przeciwko premiom wywozowym itp. Dlatego, że w interesie kapitalisty przemysłowego, w interesie każdego fabrykanta, każdego kapitalisty leżała tania siła robocza. Taniłość siły roboczej uwarunkowana jest m. in. kosztami utrzymania poszczególnych rodzin robotniczych. Zatem im niższe ceny produktów rolnych, tym niższe koszty utrzymania robotnika, tym większa możliwość obniżki płacy roboczej przez fabrykanta i przez to tym większa możliwość proporcjonalnego wzrostu zysku tegoż fabrykanta.

Ponadto kapitał przemysłowy zainteresowany był niską ceną produktów rolnych jeszcze z tego względu — oto przemysłowcy obliczali, że im mniej robotnicy wydadzą na wyżywienie, tym więcej zostanie im na produkty przemysłowe. Dzięki temu rozszerzy się pojemność wewnętrznego rynku. Kapitał przemysłowy dążył do zniesienia cel zbożowych i dopuszczenia na rynek wewnętrzny konkurencyjnego zboża zagranicy.

Te rozbieżności interesów obszarników i kapitalistów przemysłowych, częste w początkowych okresach rozwoju kapitalizmu, których klasycznym przykładem była walka o prawa zbożowe w Anglii, nie miały jednak charakteru zasadniczego.

Obszarnicy bowiem przekształcając swoje gospodarstwa w coraz czystsze przedsiębiorstwa kapitalistyczne, a na płaszczyźnie banków spotykają się z kapitałem przemysłowym.

To spotkanie obszarników, bankierów i przemysłowców doprowadza do rozejmu. Każdy z nich posiada kapitały zaangażowane często i w ziemi i w przemyśle i w banku, a napewno każdy z nich ma jednakowy, wspólny, zgodny stosunek do prawnego opiekuna tej kapitalistycznej spółki w okresie imperializmu, broniącego przed ewentualną agresją rewolucjonizowanych mas pracujących ludności — do aparatu kapitalistycznego państwa. Te skrzydła rozwiniętego już kapitalizmu — rolnicze i przemysłowe — łatwo dochodzą do kompromisu i likwidują, wybuchające od czasu do czasu między nimi przeciwieństwa. Koszty tego kompromisu ponoszą rzecz jasna masy pracujące.

Tak np. polski aparat sanacyjny państwa w latach trzydziestych, służący panującej oligarchii finansowej,

chcąc rekompensować obszarnikom niskie ceny produktów rolnych przy eksporcie za granicę tych produktów, dopłacał im z pieniędzy podatkowych do każdego wywożonego kwintala żyta około 7 zł. gotówką. Podobnie rzecz miała się z kontraktacją buraka cukrowego.

Polityka agrarna kapitalistycznego państwa tego okresu, w którym obszarnicy zrastają się z kapitałem bankowym i wiążą swój interes w pełni z interesem oligarchii finansowej jest polityką klasową, proponowaną od dawna przez kapitał przemysłowy, jest polityką, której ostrze skierowane jest głównie przeciwko chłopom i robotnikom. Chłopi dźwigają ciężar rezygnacji obszarników z walki o wysokie ceny produktów rolnych, a obszarnicy za ustępstwo są wynagradzani rentą ze środków państwowych, nazywającą się różnie, np: premią eksportową, kontraktacją roślin przemysłowych, obniżką procentów od długów hipotecznych, klasową polityką podatkową (t. zn. równość podatków z hektara), odpowiednią polityką kredytową, ubezpieczeniową itd. Nędza chłopów i skurczenie rynku na wsi przynosi w konsekwencji w przedwojennej Polsce i nędzę robotników. *Chłop traci ziemię, przemyślnik rynek, a robotnik pracę.* Stan ten bardzo trafnie oddaje hasło sformułowane przez przedstawiciela KPP w tym okresie: „robotnik nie ma pracy, bo chłop nie ma ziemi”.

Taka kapitalistyczna polityka agrarna doprowadza do ruiny małego i średniorolnych chłopów. Korzystna jest jedynie dla nielicznej grupy bogaczy wiejskich.

Stanisław Cieślak

III Plenum Partii

Obrazy III Plenum KC PZPR waga i słusność ujęcia poruszanych na nim spraw wywołały w całym społeczeństwie polskim głębokie wrażenie.

Wobec zaostrzającej się walki klasowej, która cechuje zarówno stosunek między narodowe jak i całe nasze życie wewnętrzne, zaostrzenie czynności wobec ataków klasowego wroga staje się jednym z naczelnych zadań.

Fakt, że rosną siły całego międzynarodowego obozu postępu i pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele, że coraz pomyślniej rozwija się gospodarka ZSRR i krajów demokracji ludowej, wywołuje wściekłość w antydemokratycznym obozie imperialistów i podżegaczy wojennych, którzy czują swój rychły upadek i zgubę.

„Klasy obumierające — pisał Stalin — stawiają opór nie dlatego, że stały się silniejsze niż my, lecz dlatego, że socjalizm rośnie szybciej, niż one i one stają się słabsze niż my. I właśnie dlatego, że one stają się słabsze, czują ostatnie dni swojego istnienia i muszą stawiać opór wszystkim siłami, wszystkimi środkami”.

Dotychczas formy i fronty walki reakcji z ruchem postępu i pokoju, a zwłaszcza z główną twierdzą i ostoją tego ruchu w każdym kraju: partiami robotniczymi, wiernymi ideologii marksizmu i leninizmu, okazały się bezskuteczne.

Posługiwanie się przez kapitalistów w ich walce z rewolucyjnym ruchem robotniczym partiami socjaldemokratycznymi przestaje dawać rezultaty. Partie socjaldemokratyczne, które jakoby miały reprezentować tzw. „trzecią siłę” pomiędzy dwoma zważającymi się obozami rewolucji proletariackiej i kapitalizmu, obnażyły całkowicie już dziś wobec światowej opinii publicznej, swój szalony stosunek wobec klasy kapitalistów, i przestały być skuteczną bronią w walce z marksizmem — leninizmem.

Dlatego też, „polityczny aparat imperializmu musi szukać gorączkowo nowych form nacisku, musi zejść do coraz bardziej wyuzdanych metod oszustwa, stosować coraz perfidniejsze sposoby rozsadzania i osłabiania ruchu wyzwoleniowego mas pracujących”.

Proces Rajka na Węgrzech zamaskowanie grupy Tita jako szalonych kapitalizmu wykazywał dostatecznie jasno, że metody wypychania agentów policyjnych do ruchu robotniczego i partii robotniczych znane już przed wojną światową, w obecnym etapie stały się coraz częściej używaną bronią ginącego kapitalizmu.

Wróg klasowy wykorzystuje chytro każdą rysę w partii, każde od-

W jakiej polityce agrarnej zainteresowane są podstawowe masy chłopów? Jakie postępowanie zabezpiecza ich interesy? Kto jest w tej sprawie sojusznikiem, a kto wrogiem chłopstwa?

W warstwie chłopskiej mamy dwie zasadnicze, antagonistyczne klasy: wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Wyzyskiwaczami są bogaci chłopi, którzy gospodarstwo swoje obrabiają starymi siłami najemnymi, wyzyskiwanymi natomiast mało-rolni i bezrolni sprzedający swoją siłę roboczą. Między tymi dwiema antagonistycznymi klasami zajmuje pośrednie miejsce klasa średniaków. Tworzą ją ludzie posiadający gospodarstwa rolne zdolne utrzymać ich bez konieczności dodatkowego zarabkowania poza tym gospodarstwem, również przy prowadzeniu tego gospodarstwa nie korzystają oni stale z najmniejszej siły roboczej.

Oczywiście, interesy chłopskich klas antagonistycznych są sprzeczne, ale sprzeczności ich w różnych okresach rozwoju mas różne nasilenie. Inne jest ich nasilenie i inny układ stosunków między poszczególnymi klasami chłopskimi:

1. w okresie przechodzenia od feudalizmu do kapitalizmu, 2. w okresie przechodzenia od kapitalizmu do dyktatury proletariatu, 3. w okresie rozpoczynającej się gospodarki socjalistycznej.

W pierwszym okresie — w czasie walki z feudalnymi stosunkami w rolnictwie istnieje tożsamość interesów wszystkich chłopów.

Wszyscy oni zainteresowani są jednakowo w uwłaszczeniu i w zniesie-

niu wszelkich powinności, wynikających z feudalnego stosunku poddaństwa między chłopem a panem. Ale w miarę osiąganych zwycięstw, w miarę grutowania się stosunków kapitalistycznych na wsi, następuje wśród chłopów, coraz głębsze rozwarstwienie, a tym samym i różnicowanie interesów.

W rozwiniętym kapitalizmie interesy poszczególnych klas chłopskich rozchodzą się. *Bogaty chłop*, będąc producentem towarowym, zainteresowany jest wysokimi cenami produktów rolnych, a niskimi płacami za pracę najemną, gdyż *ma do sprzedania zboże, a do kupienia siłę roboczą, bezrolni i mało-rolni* natomiast żąda wysokiego na odwrót, gdyż on musi *zboże kupić od bogacza, a siłę roboczą sprzedać bogaczowi*. Średniak zajmuje stanowisko pośrednie — czasem zbliża się do kulaka, a czasem do biedniaka. Jest on zainteresowany wysokimi cenami produktów rolnych, jako że posiada pewne nadwyżki na rynek i to zbliża go do kulaków, ale z drugiej strony cały system kapitalistycznej gospodarki przez rozdrabnianie gospodarstw, utrudnienia w sprawie uzyskania kredytów, ograniczoną możliwość stosowania inwestycji wzmocniających gospodarstwo itd. spycha go na pozycję biedniaka.

Jaką politykę agrarną prowadzi klasa rolnicza? W krajach, gdzie nie zostały doszczętnie wyniszczone przeżytki feudalizmu klasa robotnicza, jako nieodłączny wytwór rozwijającego się kapitalizmu jest żywo zainteresowana w ich likwidacji. Walkę tę prowadzi robot-

nicy wspólnie z wszystkimi chłopami. Przykładem może być rewolucja rosyjska w 1905 r. jak zresztą i inne rewolucje burżuazyjne. W krajach o wykształconym kapitalizmie klasa robotnicza, walcząc z wyzyskiem stosowanym przez kapitał, walczy jednocześnie o interes chłopski, gdyż likwidacja kapitalistów równa się jednocześnie likwidacji wielkiej własności i parcelacji tej wielkiej własności. Klasa robotnicza walczy z kapitalistycznym systemem, przygotowując rewolucję proletariacką, mając na widoku jaknajszerszą poprawę losu proletariatu i półproletariatu tak miejskiego, jak również i rolnego.

Poglądy klasy robotniczej na kwestie agrarne znajdują w przeszłości odbicie w dwóch kierunkach ideologicznych polityki agrarnej.

Pierwszy (którego teoretykami byli socjaloportuniści z II Międzynarodówki — David i Hertz, a w Rosji poza socjaloportunistami, narodnicy i eserzy) polegał na tym, że każdy chłop, choćby posiadał niewielką nawet działkę uprawnej ziemi, traktowany był jako przedstawiciel towarowego rolnictwa, produkującego na bazie kapitalistycznej. Mówiono, że w związku z tym każdy chłop jest tak silnie i zgodnie kierowany z systemem kapitalistycznym, tak bardzo zainteresowany we wzmocnieniu samodzielnego gospodarstwa wewnątrz tego systemu, w jego udoskonaleniu jako warsztatu drobnotowarowego, że żadna kategoria chłopów, posiadających nie może być traktowana jako sprzymierzeńcy dążący do budowania ustroju socjalistycznego — od-

wrotnie, należy ich traktować jako przeciwników powiązanych wspólnymi interesami z drobną burżuazją. Podobne stanowisko zajmowała u nas Róża Luxemburg i J. Marchlewski.

Drugi kierunek widzi w chłopach małorolnych i średniorolnych sprzymierzeńców klasy robotniczej. Sojusznika widzi również w średniakach, dlatego że średniacy, będąc związani przez posiadanie warsztatu rolnego, dającego pewne nadwyżki, z drobnotowarową produkcją kapitalistycznego typu, nie eksploatują jednak cudzej pracy i w ogóle nie są zainteresowani w swym gospodarstwie stałymi siłami najemnymi. Ponadto średniak ponosi stałe straty na skutek zorganizowanej działalności różnych związków kapitalistów i chłonicznych kryzysów w rolnictwie towarzyszących kryzysowi w przemyśle. Ze względu na te trudności bytu gospodarczego średniak staje się naturalnym sojusznikiem proletariatu. Fakt ten wyraźnie ukazał się w dziejach Rosji i Zw. Radzieckiego. Wyrazem tej tendencji były również w latach międzywojennych nastroje rewolucyjne chłopów w koloniach, wśród ruinowanych farmerów amerykańskich, w Polsce, Czechosłowacji i szeregu innych państw.

Ten drugi kierunek polityki agrarnej jest programem partii, których podstawami ideologicznymi są założenia oparte na nauce marksizmu-leninizmu.

Program klasy robotniczej w sprawach agrarnych polega na likwidacji przeżytków kapitalistycznych w rolnictwie i wprowadzenia form gospodarki socjalistycznej. Zadanie to jest trudne. Chodzi bowiem o:

1. likwidację dysproporcji rozwoju przemysłu i rolnictwa, przez racjonalizowanie upraw i hodowli, stosowanie w pełni metod naukowych i osiągnięć nauk rolniczych, tak w zakresie poprawiania struktury gleby, jak również umaszynowania itp.

2. Pełną przebudowę struktury rolnej, czyli skolektywizowanie rolnictwa, które pozwoli na racjonalne zrejonizowanie kultur rolniczych, na prowadzenie odpowiednich doświadczeń, współdziałanie poszczególnych rejonów, pomoc wzajemną itd. Przeszkadzają w tym kapitalistyczne przeżytki. Toczy się z nimi nieubłagana walka, a chłopi w tym czasie (poza kulakami) dojrzewają do gospodarki spółdzielczej. Powoli stają się socjalistami. Engels, mówiąc właśnie o tym procesie dojrzewania chłopów do socjalizmu pisał: „Stoimy stanowczo po stronie drobnego chłopca; zrobimy wszystko, co możliwe, aby dać mu znośniejsze warunki życia, aby ułatwić mu przejście do zrzeszenia, gdy się na to zdecyduje; jeśli zaś nie będzie jeszcze w stanie podjąć tej decyzji, postaramy się dać mu możliwie dłuższy okres czasu do przemyślenia tej sprawy na własnym skrawku ziemi”.

Jakkolwiek przejście z kapitalistycznych do socjalistycznych form produkcji może dokonywać się różnymi sposobami w zależności od konkretnych warunków społeczno-gospodarczych i kulturalnych danego państwa, to jednak jeden fakt jest niezmieniony, że chłopi mogą osiągnąć zwycięstwo tylko w wypadku jeśli walka z kapitalizmem dokonuje się pod przewodnictwem klasy robotniczej.

Proletariat i półproletariat, oraz średniak radziecki po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej doszli do zgodnego przekonania, że najodpowiedniejszą formą gospodarki rolnej jest forma kolektywna.

Przekonanie to dostępne jest jednak tylko dla chłopów biednych i średniorolnych i ci właśnie chłopi dojrzewają do spółdzielczych gospodarstw. Niedostępne jest ono dla bogaczy, których kapitalistyczny interes jest zasadniczo sprzeczny z wszystkimi elementami socjalizmu. I dlatego kulacy, owi kapitaliści wiejscy, w ustroju socjalistycznym w wyniku prowadzonej walki zostają ostatecznie zlikwidowani jako klasa społeczna.

Partia bolszewicka, doskonale rozumiejąc sytuację klasową wśród chłopów, określiła swój stosunek do nich wyrażający się w postępowaniu i w hasłach: „z całym chłopstwem przeciwko absolutyzmowi, przy neutralizacji burżuazji — o przewrót demokratyczny” (jest to okres walki z feudalizmem). W następnym etapie, w którym przygotowuje się rewolucja, socjalistyczny stosunek do chłopów wyraża hasło: „razem z biednym chłopstwem i w ogóle półproletariackimi warstwami ludności przeciw kapitalizmowi, a więc i przeciw bogatym chłopom, kulakom i spekulantom”.

Stanisław Cieślak

Dyzma Gałaj



MARIAN TYROWICZ

ŚCIEGIENSZCZYŹNA — PROBLEM HISTORII



Ks. Piotr Ściegienny.

EKSPOZYCJA kielecka zakończona. Muzeum Świętokrzyskie po raz pierwszy w swej statystyce zapisało w ciągu kwartału kilkadziesiąt tysięcy widzów, z tego ponad 25.000 odwiedzin indywidualnych. Wystawa „Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki” stała się wydarzeniem kulturalnym ogólnopolskim, zwycięsko weszła na łamy prasy jako zagadnienie dyskusyjne i przedmiot recenzji: historycy, literaci, publicyści i artyści zaczęli pisać do studiów i utworów artystycznych, fałszy literackiej i problematki społecznej. Muzeologowie badali, jak to z niewyjaśnionej sprawy regionalnej robi się zagadnienie wystawowe, jak z różnorodnego materiału ekspozycyjnego — tworzy się całość — bodaj w przybliżeniu — jednolita.

Wystawa zapewne nie była dla wszystkich łatwą do strawienia; z tytułowego więc zagadnienia, niż się spodziewano. Sciany trzech sal dogmały się więcej uwagi i skupienia, niż trzeba poświęcić dziełom malarstwa na takiej samej przestrzeni. Każdy dział i jego cząstka budziły szereg pytań.

Czy mogło być inaczej? Niewątpliwie tak. Wyobraźmy sobie zgrupowanie materiału z rycin,

dokumentów, rękopisów i druków, pamiątek i przedmiotów, których sens i użycie na wystawie miało być cel jeden: gloryfikację postaci mało znanej, owianej czarem legendy i powagą martyrologii porzobrowej; zgrupowanie rzeczy-śladów dla wykazania najwyższej wartości wychowawczej dla pokolenia 1863 r. — idei niepodległościowej. Sprawa byłaby o wiele łatwiejsza: romantyzm epigonów i patriotyzm ze łączy sentymentu najbardziej torowały drogę łatwiej historiograficznej.

Przed nauką dnia dzisiejszego stoją zadania inne, horyzonty rozległejsze. Dziejopisarstwo jako dział humanistyki przeżywa najbardziej zwrotną chwilę. Wystawa historyczna jest i musi być tego zwrotu najwierniejszym zwierciadłem. Zagadnienia na pozór proste rozpadają się na szereg złożonych; analiza faktów musi iść w głąb i wszcz. Miejsce czynów jednostkowych zajmują zjawiska — wytwory zbiorowości; motorem mechanizmu dziejowego są warunki ekonomiczne, konflikty klasowe, zagadnienia demograficzne.

Wystawa, konstruowana na tych zasadach — jest peryskopem łodzi badawczej, unoszącej się na falach wciąż jeszcze pokutującej u nas ideologii powstańczo-narodowej, legendy jednostkowego bohaterstwa i romantyzmu politycznego. Peryskop chwyta na polu swego widzenia silniej zarysowujące się i oddające się od tła już znanego — fenomeny nieznane, nowe, uderzające swą strukturą i charakterem. Wystawa nie hodująca legend i tradycyjnego poglądu na dzieje — spełnia rolę peryskopu. Wyłania materiał konstrukcyjny wprost z warsztatu badań, przenosi go na ekran pokazowy i odsłania złożoność problemu.

KS. ŚCIEGIENNY CZY ŚCIEGIENSZCZYŹNA?

Zapytajmy jeszcze inaczej: biografia działacza czy historia ruchu? Co kryje się pod nazwą — rzadko dotąd używaną — „Ściegienszczyzna”?

Z pewnością nazwa ta nie określa żywota ks. Piotra. Jest natomiast określeniem sprawy społecznej, żywej i skomplikowanej, jednego z najistotniejszych rozdziałów rewolucji społecznej w Polsce mi-

nionego wieku. Życie i działalność ks. Ściegiennego (1800—1890) wyrosły z pnia rodzimego: regionu świętokrzyskiego w najściślejszym określeniu terenowym, a Królestwa Polskiego w szerszym. Dzieci Kielecczyzny, Ściegienni, chłopci pańszczyźniani — mniejsza z tym, czy lepiej czy ciężiej, niż w innych powiatach Kongresówki, obciążeni świadczeniami — stanowili element buntu, porywcy, śmiały, świadomy swych celów. Piotr Ściegienny — ksiądz, Dominik-chłop-rolnik Karol-geometra — rodzeni bracia spod jednej strzechy — reprezentowali bujny odruch samoobrony wsi przed uciskiem, odruch, który ogarniał setki i tysiące podobnych rodzin włościańskich, nie tylko u stóp Łysicy, ale niemal w całym Królestwie Polskim. Ściegienszczyzna więc — to nie tylko spisek kierowany przez ks. Ściegiennego, wikarego wilkołaskiego, a następnie proboszcza z Chodła (obie miejscowości w Lubelszczyźnie), ale szereg zakrojony ruch agrarno-rewolucyjny, zmierzający do przewrotu stosunków poddańczo-rolnych w Królestwie. Ruch ten ujawniał się rozmaicie: powiaty nadgraniczne były terenem gromadnego zbliżenia chłopów za granicę, nawet w mundurach żołnierzy rosyjskich; wewnętrzne i południowe powiaty wrzały wystąpieniami znacznie ostrzejszymi: sabotażem i napadami na dwory, paleniem stogów siana lub stodoł, oporem stawianym nie tylko dzierżawcom i właścicielom folwarków, ale i władzy rosyjskiej, znową co do nie wypelniania robocizny pańszczyźnianej. Już od powstania listopadowego, w czasie którego chłop w dość licznych powiatach i w gminach stawiali energiczny opór przy zaciąganiu ich w szeregi narodowe — ciągnęły się procesy z dworami o słuszne i sprawiedliwe ustalenie wymiarów pańszczyźnianych i czynszowych, o t.zw. tabeli prestatynej, o zaprzestanie gwałtów i nadużyć pańskich, o należyte pomiaru gruntów chłopskich i folwarcznych, o parcelację niektórych gospodarstw większej własności, wreszcie o prawo swobodnego przenoszenia się do innych gmin. Gdy te procesy i zabiegi prawne zawodziły — włościanie chwytały się wyżej wymienionych metod radykalniejszych.

LEGENDA ZWYCIEŻA HISTORIĘ

Biografia działacza-księdza przebiegała przez różne pola badania; historyk musi tu połączyć dociekania treści społecznej, politycznej, gospodarczej, badacz literatury w Ściegiennym ma ocenić myśliciela, pisarza ludowego i mówcę (w wszystkich jego utworach charakter krąsłomówcy, kaznodziejski, daje tworzywo stylu i obrazowania), socjolog i ekonomista nie mogą przejsz obok kilku nieodparcie wywołujących się problemów: rozwoju rodziny chłopskiej, jej genealogii i awansu społecznego, warunków materialnych i ustroju gospodarczego.

Dociekania tych problemów — są ledwie w zarysku. Znacznie szybciej

i głębiej rozrosła się legenda o Ściegiennym-patriocie niepodległościowym, niż wiedza o nim jako działaczu społecznym, szermierzu o prawa chłopów. Znacznie prędzej wzięto się do wysnuwania jakże popieszczeni i nieraz mylnych sądów o Ściegiennym-spiskowcu, więźniu cytańdli i Sybiraku, niż o Ściegiennym-myślicielu, pisarzu, reformatorze życia ludu.

Legenda — przerosła swą siłą poglądy dziejopisarzy. Wytworzyła się arcyciekawa, symptomatyczna dla naszego życia w w. XIX, porywająca dramatycznością i barwnością — historia jednego żywota. Walka, o duszę, o cześć kapłana i Polaka, jako zakatowanej ofiary caratu — wszczęła się już za jego życia. Zamknięcie za kraty więzienną i wywiezienie na Sybir — starczyły za katafalk i mogiłę. Tymczasem człowiek nie tylko żył — niezależnie od legendy o sobie samym — ale przechodził dalszą ewolucję, działał w śnieżnej oddali, organizował falandster pod Nercyńskim, dom polski w Permii — pisał.

Stronnictwa polityczne przyłożyły się walcnie do rozbieżności między życiem a legendą; one to w dalekim Paryżu w owym — według W. Feldmana — „laboratorium ideologicznym” ówczesnego wychodźstwa pol-

rysie odsłoniła ekspozycja kielecka, rewidując dotychczasową tezę o ubóstwie dojmującym rodziny. Ale synów było czterech, córki dwie, żona Wojciecha Ściegiennego — zmarła dość szybko, szkolenie dziecka kosztowne i trudne. „Ekonomia dóbr górniczych”, do których należała Bilcza („dozorstwo Białogon”) — nie tylko nie grzeszyła sumiennym traktowaniem włościan i zrozumieniem nieuniknionych następstw klęski nieurodzaju, głodu czy pomoru bydła, ale oszustwa pańszczyźniano-prestatynej Czaplickiego spowodowały zaburzenia i awantury, które dotarły do uszu namiestnika carskiego w Warszawie — ks. Paskiewicza. Przed historykiem gospodarczym stoi więc rekonstrukcja życia rodzinnego Ściegiennych, w której obok elementów wielokrotnie z różnych punktów naświetlanych — czekają na krytyczne i właściwe uwzględnienie elementy bądź nieznane bądź fałszywie rekonstruowane, jak specyficzne warunki ekonomiczne rodziny, wykształcenie dzieci, talenty ich i ambicje, stosunki jak najściślej domowe.

Pierwsze nauki Ściegiennego, jego otoczenie szkolne kieleckie, koledzy i profesorowie z Wojewódzkiej Szkoły w Kielcach — wszystko to domena znowu badacza oświaty

wylawianych dziś jeszcze z prowincjonalnych archiwów b. Królestwa (Fadcm. Kielce, Lublin), a stanowiących czy to korespondencje urzędów rosyjskich, czy akta śledztwo-procesowe czy gospodarczo-skarbowe spisy, fascje, tabele prestatynej, akta komisji włościańskich itp. Istnieje trudne do sumarycznego i bibliograficznego zestawienia mnóstwo rękopisów typu bibliotecznego: pamiętników, kronik, listów, notat różnego rodzaju, wśród których — jak drobna cegiełka dla budowy gmachu — kryją się niewątpliwie materiały do sprawy Ściegienszczyzny. Archiwalia i rękopisy — to pierwszy budulec historyka, którego nie zastąpi ani intuicja literacka ani najefekowniej generalizująca hipoteza. Jak nie wolno odrywać Ściegiennego od zaognionego gruntu ruchów agrarnych w Królestwie, tak znowu tych ruchów nie można pozbawiać związku z tłem ogólniejszym, tj. ówczesnym wrznięciem rewolucyjnym i to nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami — na wschód i zachód. Byłoby wielkim zubożeniem historycznego zagadnienia, jakim jest Ściegienszczyzna — gdyby się ją sprowadzało do rozmiarów opowieści o plebanie wilkołaskim czy proboszczu z Chodła. Jej aspekt rewolucyjny i klasowy

ma źródła odległe i głębokie, choć pozornie wystające autochtonicznie i samodzielnie na glebie ugorów świętokrzyskich i w ostępach Puszczy Jodłowej. Czy nie nie mówią apokryfy głośnego apokryfu zwanego na przemiany „Złota księżeczka” lub „Bulla Grzegorza XVI do ludu polskiego”, w których wyzywa się do solidarności chłopów — żołnierzy polskich z chłopami i mieszczańami w szyniach carskich, gdy wybije godzina „wojny sprawiedliwej” przeciw państwu? Czy egalitaryzm chrześcijański przejęty przez Ściegiennego z kart pism Lamennais i późniejsze jego pacyfistyczne projekty Towarzystwa Wiecznego Pokoju nie korelują w sugestywny sposób ze współczesnymi zaburzeniami w stosunkach agrarnych w Rosji mikołajowskiej, z religijno-socjalnymi buntami od guberni jeniejskiej po Ukrainę i Białoruś, a następnie z potężnym prądem rewolucyjnym II połowy minionego stulecia?

By nie dawać tym kwestiom charakteru pytań retorycznych — zwróćmy uwagę na tak pozornie drobne szczegóły, jak fakt zasilenia konspiracji rewolucyjnej Warszawy — polskimi przybyszami z Moskwy i innych uniwersytetów rosyjskich (a przede wszystkim głową podziemnej Warszawy tych lat Henrykiem Krajewskim), jak alarmujący raport Paskiewicza do Mikołaja II donoszący, że na mapach skonskrowanych więźniom z 1844 r. figurowały specjalnie zaznaczone odległe ogniska buntu: Kijów, Ryga i Moskwa. Zapewne dzisiejsze badania historyków radzieckich czy to z mińskiego kregu prof. Pizety, czy Instytutu Słowiańskiego Akademii Nauk dorzuca niejedną rewelację z tajników archiwów moskiewskich, uzupełniającą polskie ubóstwo źródłowe, tak katastrofalnie spotęgowane przez wypalenie skarbow kulturalnych Warszawy, przez pozbawienie polskiej nauki raperswillanów, które gromadzone przez dwa pokolenia starczyły mogły jako substancja badawcza na lat sto i więcej.

PYTANIA NIERETORYCZNE

W którym podręczniku piśmiennictwa polskiego; a zwłaszcza piśmiennictwa ludowego, figuruje nazwisko Ściegiennego?

W którym katalogu rękopisów — zebrane są wiadomości o jego piśmach, o apokryfach i odmianach samej tylko bulli Grzegorza XVI do ludu polskiego? Kto pomyślał o pierwszym i pełnym a sumiennym wydaniu ściegienszczyzny ku wypełnieniu luk i oświeceniu chłopskiej twórczości?

Który z historyków literatury i kultury zadał sobie trud ustalenia filiacji pism myśliciela wilkołasko-permskiego (bo te dwie o tysiące kilometrów odległe i niegłośne miejscowości były kolebką jego roztępienia) z współczesną mu filozofią, socjologią i poezją?

Są to pytania naprawdę retoryczne. Brak na nie odpowiedzi. Zapewne gdzieś może przy jednym lub drugim warsztacie uniwersyteckim — mozieli się młody adept historii nad zbudowaniem osadu o kilkunasu stronach znanych dotąd i przedrukowanych wyjątków pióra ks. Piotra.

Dyskusja, jaka wytoniła się na marginesie muzealnej imprezy kieleckiej — oznacza dużo. Prasa zanotowała bezpośrednią reakcję zainteresowanych kół. Przed problemem historii — otwarła się droga, ciekawa i niezwykła — droga, która karierę legendy o plebanie wilkołaskim i bohatera posępnej martyrologii narodu wyprowadzi na cmentarz pamiątek dostojnych, lecz nieprzypadnych dla bieżącego naprzód życia, dla postępu myśli i udoskonalenia ustrojowego świata. Legenda ta — sama dla siebie — zainteresuje kiedyś historyków i pisarzy. Ale ich ciekawość i pracowitość ma na razie godniejsze zadanie: Ściegienszczyzna jako problem historii.

MARIAN TYROWICZ



Agitacja wiejska w I połowie XIX w. (współczesny drzeworyt).

skiego rozpętały namiętny spór o to, czy ks. Ściegienny zdradził idee walki o niepodległość, czy wyżej nad nią stawiał walkę klasową, czy popełnił zbrodnię według kodeksu kanonicznego, czy był bohaterem i męczennikiem czy przestępcą politycznym. Nawet kler polski emigracyjny podzielił się w tym sporze na dwa obozy. Aż do odrodzenia państwowości polskiej — po przez druk agitacyjny „Proletariat”, ideologiczne programy grupowań ludowych, wybory do Dumy petersburskiej, czasopisma PPS, wydawnictwa Stojałowskiego i inne — nazwisko ks. P. Ściegiennego oznaczało sztandar, który rozpościerano nad rzęsami partii.

ZNAKI ZAPYTANIA

Aby zrozumieć Ściegienszczyznę — trzeba zgłębić życie Ściegiennego. Aby stworzyć pogląd o życiu pewnej grupy nie wolno zlekceważyć curriculum vitae jej przewodcy. Losy jednostki mogą — choć nie muszą — być odbiciem procesów warstw, klasy czy grupowania politycznego; na odwrót — działalność jednostki może tworzyć wytyczne dla rozwoju grupy.

Z pewnością biografia wikarego wilkołaskiego posiadała te walory. Posiadała atoli również sporo miejsc białych, luk, niedomówień, czasem sprzeczności. Nazwijmy je znakami zapytania, a nie umajmy nie albo mało zagadnieniu Ściegienszczyzny jako problemowi historii — skwalifikujemy je jako przedmiot odrębnej własnej, monograficznej konstrukcji.

Zacznijmy od Bilczy i chrztu w Brzezinach. Brak metryki Piotra Ściegiennego w archiwum parafialnym, które imponować może nawet zawodowemu archiwistce znakomitym stanem ksiąg i indeksów do XVII w. stanowi zagadkę nie do rozwiązania. Na domiar złośliwości martwej rzeczy — akta parafialne pełne są nazwisk Ściegiennych od XVIII w. Ich urodziny i chrzty, śluby i zgony przewijają się jak wstęga chłopskiej genealogii poprzez wąskie kajety i pracowicie wypełniane szpalty metrykalne. Na szczęście ludę brzezińskią wypełniła odkryta niedawno matrykuła zakona pijarskiego. Położyła kres nieuzasadnionemu łączeniu narodzin Piotra Ściegiennego ze wsią Wysokie w pow. krasnostawskim, do czego dawał asumpt fałszywie zredagowany akt zejścia w Lublinie (parafia Kalinowszczyzna).

Dzieciństwo wśród pól Bilczy innego jeszcze domaga się rozpatrzenia. Dokładne określenie stanu majątkowego ojca jego pojęcia we wsi (według jednych źródeł był gajowym, według innych sołtysiem), rozmiary świadczących i powinności na rzecz dworu dzierżawionego w Bogackiej przez Franciszka Czaplickiego — wszystko w grubszym za-

budzi sam rektor ks. Antoni Polejewski, który tak długo popierał lojalnie zarządzenia władz oświatowych Królestwa na terenie Kielc, inspirowane przez Nowosiłowa — nie zapominajmy, że był to okres wileński śledztw nad Filomatami i głośnego procesu Łukasieńskiego — aż w 1833 utracił go dymisja. Groło uczniowi Szkoły Wojewódzkiej, w której pobierali naukę Królikowski Ludwik, twórca Polski Chrystusowi, saint-simonista, prawa ręką Cabel'a we Francji. Antoni Cypryński, współredaktor „Polaka Sumiennego” i „Słowianina”, Stanisław Ropielewski, głośny krytyk literacki na wychodźstwie — stawał niewiadomą stosunków szkolnych, wśród których obracał się Piotr Ściegienny.

PYTANIA NIERETORYCZNE

Bez porównania jednak bardziej skomplikowany a zarazem i donioślejszy dla historycznego określenia roli ks. Ściegiennego trud badawczy — to stosunek jego do sieci rewolucyjnej Królestwa Polskiego i innych dzielnic ówczesnej Polski, sprzecznianie rozmiarów i charakteru spryszczenia chłopskiego, któremu przewodniczył, analiza środków agitacyjnych, których używał, wpływy zewnętrzne, którym podlegał. Stojące dziś do dyspozycji historyka materiały archiwalne są ułamkiem tego, co trzeba by przewertować. Skopiować, zebrać krytycznie i powiązać konstrukcyjnie. Obok materiałów dokumentarnych,



Dawna Szkoła Gubernialna w Kielcach.

Piotr Chmura

Konkurs na reportaż o wsi

Ogłoszony przez naszą redakcję „Konkurs na reportaż o wsi” wywołał duże i słuszne ożywienie wśród pisarzy i działaczy. Intencją redakcji było zmobilizować czujność rewolucyjną pisarzy wobec walki klasowej w wsi i przemian zachodzących w toku tej walki w okresie, który „umożliwia dyktaturę proletariatu, państwu demokracji ludowej wzmocnienie swego planowo regulującego oddziaływania po linii uszczelnionej pomocy dla matorolnej i średniorolnej części wsi, stwarza możliwość systematycznego ograniczenia i wypierania bogactwa przemian i walczą o jego realizację. Demaskują wrogów gromady w kulaku, jego zasunikach, jego protektorach i jego wielbicielach. Przypisują do niego ostateczną wolność, wywołują go do obszarńka stoi w obliczu dziejosięćroć licniejszych pasażerów „wiejskich przedsiębiorców”, ze zgrają ich braci, kuzynów i klientów w roli agentów, motających chłopów w „polityczkę” bogactwa mocodawców.

Wielka ofensywa kulturalna na wsi, jaką zapoczątkowało masowe rozprzestrzenienie bibliotek gminnych, wzmocniona pracą samokształceniową w świetlicach, wyjazdy pisarzy w teren z autorskimi wystąpieniami w rezultacie bardzo podniosły na wsi autorytet pisarza i korespondenta — działacza. Drukowaliśmy wiele reportaży, ukazujących przebieg gorących dyskusji wiejskich, których przedmiotem były utwory powieściowe, poetyckie i publicystyczne. Drukowaliśmy listy z zapadłych wsi, zdające przyjaźni autorów, przyjazdów „robotnych”, poświęconych czujnemu, uważnemu i szczegółowemu wczwreniu w życie gromady. Pisarze byli i będą używani na po-

moc, bo toczy się walka! Walka na obecnym etapie o ograniczenie kulactwa i wkraczanie pracującego chłopstwa na drogę kolektywizacji — wysuwa na plan pierwszy w życiu wsi elementy drobnotrolne i średniackie. One to przechodzą do natarcia, do rewolucyjnego przeobrażenia stosunków społecznych i gospodarczych na wsi. One są awangardą na każdej wsi. Uwyrażają kierunek przemian i walczą o jego realizację. Demaskują wrogów gromady w kulaku, jego zasunikach, jego protektorach i jego wielbicielach. Przypisują do niego ostateczną wolność, wywołują go do obszarńka stoi w obliczu dziejosięćroć licniejszych pasażerów „wiejskich przedsiębiorców”, ze zgrają ich braci, kuzynów i klientów w roli agentów, motających chłopów w „polityczkę” bogactwa mocodawców.

Walka toczy się przez spółdzielnie, regulację podatków, grupy produkcyjne, pomoc w kredytach, narzędziach i maszynach rolniczych, pomoc w udoświepceniu oświaty, szkół wyższych, kultury; wnoszą ją organizacje polityczne i młodzieżowe. Czyni to sprawę kulaka na gromadzie sprawą coraz wyraźniejszą, coraz ważniejszą i coraz bardziej jutrząca.

A przy ograniczaniu kulaka wieś uczy się widzieć system, który pragnie obalić w konkretnej osobie miejscowego wyzyskiwacza. I im goręcej będzie pragnęła bogacza wiejskiego obalić i znieść powikłane stosunki wyzysku, zależności i ograniczeń, jakie wiążą się z jego istnieniem i możliwością przechodzenia innych na pozycje kulackie, tym bardziej zdecydowanie w sojuszu z klasą robotniczą i pod jej

przywództwem przeciwstawi temu systemowi nową organizację pracy i stosunków społecznych, tym wyraźniej i powszechniej walka będzie się toczyć o to, aby na gruzach gospodarki kulackiej przeobrazić sam ustrój drobnotwarowej gospodarki rolnej.

Listy z zapadłych wsi, wzywające pisarzy, do głos rewolucyjno-ofensywnych sił dzisiejszej wsi. Trzeba w nich umieć odczytać co najmniej dwie rzeczy. Pierwsza — to ściśle kojarzenie pisarzy z politykami. Tak ich tam w terenie widzą. I słusznie. Literatura to ideologia. Tam w terenie, działacze przypisują pisarzom świadomość, jaką winna mieć awangarda klasy robotniczej w państwie demokracji ludowej, w państwie dyktatury proletariatu. Wzywając pisarzy do woli są oni do takiej własnej kontroli, do takiego przewodnictwa. I to stanowi jeden z wymownych przykładów, jak daleko posunęła się walka klasowa na wsi, jak istotna w tym okresie jest rewolucyjna ofensywa i siły, które w niej się gromadzą i narastają z dnia na dzień.

Druga prawda, jaka bije z tych listów, to słuszne żądanie, aby już przebyty etap walki i bieżyący jej moment zostały „opisane”. Nie „na pamiętkę”. Dla obecnej walki. Nagromadzone konkretne doświadczenia wymagają systematyzacji, wychwycenia ich dialektycznego rozwoju. Powinny uzbroid w czujność wobec wroga, jego środków i metod walki. Powinny walczyć, jako skutecznych, celowych i skutecznych, określić zakres i stopień osiągniętych pozycji w walce i wskazać jej dalsze etapy. PIOTR CHMURA

*) H. Minc z pisma pt. „O trwałym pokój o demokrację ludową” nr 27.



ROK PRZEŁOMU

Rok 1935 w Polsce nazwany został przez publicystykę polityczną „rokiem przełomu”. Starania KPP o utworzenie jednolitego frontu zorganizowanej klasy robotniczej trafiają w dołach PPS-owskich na podatny grunt, przygotowany długą falą kryzysu, który osiąga swoje dno w kraju w początkach lat 30-tych. Z jednej strony oddziałuje na szerokie masy pracujących agitacja partii awangardowej — z drugiej urabiają nastroje i opinie, kształtują świadomość klasową coraz wyraźniejsze fakty polityczne i gospodarcze, potwierdzające najdotkliwiej, bo w praktyce życiowej mas, słuszność tej agitacji.

Produkcja przemysłowa w połowie r. 1935 sięga 65% stanu przedkryzysowego. Liczba bezrobotnych przekracza pół miliona. Walka klasowa osiąga maksimum natężenia. W r. 1935 policja granatowa zatrzymała 13.025 działaczy robotniczych, z tego przekazała sądowi 6.379 osób — osądzono z nich 2.416.

Bezpartonowa walka rządu z partią klasy robotniczej, połączona z utworzeniem w r. 1934 wzorowanego na hitlerowskim Dachau obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej oraz z atakami na ustawodawstwo robotnicze i klasowe związki zawodowe („unifikacja” zw. zaw.), dalsze ograniczenia swobód obywatelskich (ustawa o zgromadzeniach i zebraniach, o stowarzyszeniach, ustawa samorządowa), wprowadzenie sądów doraźnych i kary śmierci w postępowaniu zwykłym, zrównanie więźniów politycznych z kryminalnymi — wszystko to wywołuje coraz bardziej zacięty opór proletariatu, konsoliduje w walce jego siły. Konstytucja kwietniowa — stanowię swoiste resume kilkuletniego „dorobku” faszystowskiej akcji — legalizuje i umacnia faszystowski charakter państwa, na co KPP wskazywała od r. 1926.

Mimo starań prawicowego kierownictwa PPS, opartego przez elementy pilsudczykowski — doli partynę biorą coraz częściej czynny udział w akcjach strajkowych i protestacyjnych, organizowanych bądź bezpośrednio przez KPP, bądź przez komitety robotnicze, tworzone z jej inspiracji. W Łodzi strajkuje w styczniu 1935 r. 90.000 włókienników, na Śląsku i w Zagłębiu 15.000 górników. Wrzenie strajkowe ogarnia robotniczą Warszawę. Natężenie tej akcji rośnie z miesiąca na miesiąc.

Doświadczenia Niemiec, gdzie zdrada prawicy socjal - demokratycznej rozbroiła klasę robotniczą i umożliwiła dojście Hitlera do władzy, zostają należycie zrozumiane w Polsce. Coraz wyraźniej różnicuje się aktywność partii socjalistycznej. Przeprowadza rewizję swej postawy politycznej Norbert Barlicki. Lewicowa grupa Próchnika szuka porozumienia z Kom. Partią Polską. Powiatowe a nawet okręgowe (śląskie) władze obu politycznych organizacji robotniczych zawierają umowy o współdziałaniu. W walce o realizację hasła politycznych, ekonomicznych i społecznych tworzy się jednolity front robotniczy.

Burzy się i wieś. Radykalizacja mas chłopskich — idąca w parze z odchylaniem się góry Stronnictwa Ludowego na prawo, w kierunku zawartego później bloku zwanego „frontem Morges” — jest następstwem wzrastającej nędzy wsi. Wzrost cen skartelizowanych w większości artykułów przemysłowych i jednoczesny znaczny spadek cen produktów rolnych — owe niebezpieczne „nożyce” ekonomiczne — polityka podatkowa rządu, wielkie zadłużenie chłopstwa po krótkim okresie złudnej prosperity — składają się na to, że kryzys rolniczy jest szczególnie dotkliwy.

Postępująca akumulacja ziemi w rękach nielicznej warstwy kułaków nieodwrotnie łączy się z wzrostem ilości gospodarstw drobnych i karłowatych oraz bezrolnego proletariatu wiejskiego. Na olbrzymiej większości gruntów gospodarka rolna jest zacofana, wydajność ziemi niewielka.

Piątą część obszarów rolnych zajmują ziemie dworskie: burżuazyjna reforma rolna okazała się oszustwem. Sytuacja zaostrza fakt, że kryzys na zachodzie Europy zamknął granicę dla sezonowej emigracji zarobkowej z Polski; nadmiar rąk do pracy wywołuje na wsi „utajone” bezrobocie, sięgające kilku milionów. Nędza wsi przewyższa nędzę proletariatu miejskiego.

Oto obiektywne warunki na radykalizm wsi w okresie propagowanej rozgłoszenie sanacyjnej „radosnej twórczości”. Wieś stanowi potężny rezerwuuar buntu.

Masowe od r. 1932 strajki chłopskie przybierają niejednokrotnie charakter powstań przeciwstawnych. W r. 1932 wybuchają walki w Lubli i Lesku, dochodzi do krwawych starć w Łapanowie i Jadowie, strajk chłopski ogarnia Małopolskę, Kielecczynę i województwo warszawskie; w r. 1933 strajki podatkowe w kolebach ruchów

ZBIGNIEW WASILEWSKI

POWIEŚĆ O ROZŁAMIE W RUCHU LUDOWYM (I)

chłopskich: Małopolsce środkowej zmieniają się w krwawe masakry chłopów (Nockowa, Kosodrz i in.) oraz pociągają pacyfikacje wsi i masowe represje policyjne; rok 1935 przynosi masowe wystąpienia polityczne przeciw faszystowskiej konstytucji i ordynacji wyborczej, dochodzi do krwawych starć z policją na Wołyniu, pod Suwałkami chłopci demonstrują przeciw szarżarom. Narastają nastroje, których wynikiem będą w r. 1936 powstania w Małopolsce (Krzeszowice), strajki i zajęcia na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie.

W tych warunkach dojrzewa sytuacja do stworzenia frontu ludowego — reprezentacji wszystkich walczących sił demokratycznych kraju: robotników, chłopów, pracujących i postępowej inteligencji. Coraz bardziej powszechne staje się w masach ludowych przekonanie, że jedynie wspólnymi siłami można nie tylko wydrzeć rządowi ustępstwa, ale i obalić sanacyjny reżim faszystowski. Lec kierownictwa legalnej partii robotniczej i Stronnictwa Ludowego oprowadzane są przez agendy sanacji. Inspiratorem akcji zmierzającej do utworzenia Frontu Ludowego jest KPP, zbrojna w nieodpartą oręż ideologii marksizmu-leninizmu, pozwalająca trafnie ocenić sytuację i wybrać właściwą taktykę działania. Komunisti mają w tym czasie już dawno poza sobą okres błędów luksemburgizmu, które w pierwszej połowie niepodległości burżuazyjnej przeszkadzały im należycie postawić kwestię chłopską.

Choć w konspiracji, komunisti stanowią właściwy ośrodek konsolidacyjny sił antyfaszystowskich. V i VI zjazd KPP skierował szczególną uwagę na zagadnienia rolne, wysunął jako czołowe zadanie partii konieczność pokierowania walką pracujących i wyzyskiwanych mas wsi pod hasłem „ziemia bez wykupu — dla chłopów”. Sformułowany w r. 1932 (na VI zjeździe) program partii zawiera m. in. stwierdzenie, że „proletariat przemysłowy w Polsce posiada oparcie w masach proletariatu i półproletariatu rolnego, posiada potężnego sojusznika w masach biednego i średniego chłopstwa, walczącego o ziemię”.

Odezwy KPP mobilizują do walki, działalność jej komórek terenowych realizuje w praktyce sojusz robotniczo-chłopski.

W Polsce — kraju średniego rozwoju kapitalizmu o pozostałościach gospodarki feudalnej, którego 2/3 zaludnienia stanowi ludność wiejska — zagadnienie tego sojuszu było (i jest do dziś) centralnym problemem politycznym. Tylko jego pełna realizacja, tylko zgodne i całkowite współdziałanie pracujących miast i wsi mogło doprowadzić do przełomu. Rok 1935 był na drodze ku niemu pokaznym krokiem.

LITERATURA WALKI

Dopiero na tle zarysowanej sytuacji politycznej około r. 1935 właściwego wyrazu nabierają dzieła literatury proletariackiej — broń ideologiczna ludowego obozu rewolucyjnego. Literatura ta, jak słusznie stwierdza (Zmigrodzka, Nowe Drogi nr 4—16), „nie tylko dostarcza materiał do poznania wycinka rzeczywistości społecznej, nie tylko odkrywa i demaskuje, lecz agituje i mobilizuje do rewolucyjnego działania. Jest literaturą świadomych bojowników o sprawiedliwość społeczną”.

Na tle sytuacji i zadań ruchu rewolucyjnego w Polsce widać dotkliwie, że nie przypadkowo nasza literatura proletariacka zajmuje się — w dziełach najwybitniejszych przedstawicieli: Kowalskiego, Wasilewskiego, Kruczkowskiego — tematyką chłopską. Pisarze ci sięgali po temat do tych środowisk, które — dotkliwie dotknięte kryzysem, pełne poczucia krzywdy i upodlenia, brutalnie gniebione przez policję sanacyjną, były w sytuacji Polski decydującą o wygranej proletariatu siłą społeczną, a jednocześnie stanowiły przedmiot zainteresowań i teren zakusów różnych grup politycznych obozu burżuazji od prawicy i socjalistycznej i ludowej po faszystowski ONR włącznie.

Zagadnienie klasowego sojusznika rewolucji — trafnie postawione w programie politycznym partii klasy robotniczej — i tutaj znajduje swój wyraz.

Narastająca fala rewolucji, wzmożone napięcie walki klasowej przynosiła ok. r. 1935 pierwsze wybitne utwory pisarzy proletariackich. W samym „roku przełomu” ukazują się niemal jednocześnie: „Ojczyzna” Wandy Wasilewskiej i „Pawie pióra” Leona Kruczkowskiego. W kilka miesięcy później, w r. 1936, dołączyła do nich pierwsza powieść Władysława Kowalskiego „W Grzmieciach”.

Utwory Kowalskiego i Wasilewskiej podjęły rewizję nacjonalistycznej legendy „wspólnej ojczyzny” i mimo pewnych potknięć autorów — zdołały rozbić mit solidaryzmu narodowego, ukazując, że jest on tylko parawanem dla klasowego panowania burżuazji. — W „Pawich piórach” otrzymałmy jedną z czołowych w literaturze polskiej politycznych powieści o wsi.

POWIEŚĆ O POLITYCE

O dwa lata wyprzedza ją trylogia Kadena-Bandrowskiego o „Mateusza Bigdzie” (1933), ale ten paszkwil na Witosa, rzucany z pasją z pozycji bojownika polskiego faszystu, zakrawa znacznie bardziej na ekspresjonistyczną karykaturę „chłopskich polityków” niż na realistyczny obraz sytuacji politycznej wsi. Jest ona zresztą przede wszystkim symptomem rozkładu obozu sanacyjnego,

któremu w tym czasie już niewiele brakuje zarówno do ogólnej „aury” „bigdizmu”, jak i do poszczególnych wyczynów przypisanych przez Kadena przeciwnikom politycznym. Materiał faktyczny do kompromitujących opisów swej powieści nie musiał on czerpać z pamięci lat poprzedzających sojusz Chjeno-Piasta, ani ze skandalicznych kronik politycznych tych czasów — aż nazbyt wiele dostarczała go aktualna praktyka życiowa dygnitarzy jego własnego obozu.

Dodajmy, że powieść Bandrowskiego nie jest właściwie powieścią o wsi, lecz o działalności polityków ludowców na terenie miasta. Kruczkowski w „Pawich piórach” swoje tezy polityczne przedstawia na żywym materiale wsi galicyjskiej.

Znamienny jest fakt, że ideowy znak równania między „Bigdą” a „Pawimi piórami” uświłował postawie szermierz faszystowskiego „radykalizmu” drobniomieszczańskiego, czołowy ideolog ONR-u, Stanisław Piaśnicki. W „Prosto z Mostu” aż dwukrotnie „stwierdza” on z przekąsem, że Kruczkowski zachowuje „90 procent wierności ideologii” marksistowskiej, ale obraca ją taktykę, bo opisane przezeń „grzechy i grzeszki polityków ludowców starego typu prawdziwe są od a do zet” — i że zatem „Pawie pióra” „stanowią argument... antychłopski i „antychłopski sukurs Kruczkowskiego dla Kadena”.

Nie warto w tej chwili dochodzić, jakie motywy polityczne skłoniły do wysuwania tak jawnie nonsensownej tezy krytycznej Piaśnickiego, który wielokrotnie okazywał trafne zrozumienie zarówno dyskursywnego charakteru powieści Kruczkowskiego jak i realistycznego widzenia przezeń rzeczywistości. Ważniejsze jest bowiem dla nas stwierdzenie, że w stosunku do „Bigdy” „Pawie pióra” stanowią przeciwny biegun ideowy.

Kompromitując Mateusza Bigdę Kaden znieślał bowiem — w swoim mniemaniu — cały ówczesny ruch ludowy w osobie jego sejmowego przywódcy. Był to, w okresie sanacyjnej walki z sejmem po przewrocie majowym, rozumiały zabieg polityczny faszysty, zastosowany wobec najliczniejszej opozycyjnej reprezentacji parlamentarnej. (Podobny sens miały w stosunku do PPS wcześniejsze dwa tomy „Czarnych skrzydeł”, 1928-9).

Kruczkowski w Jakubie Smotrze — galicyjskim pośle ludowym na sejm austriacki, piastującym nieprzerwanie mandat poselski przez lat 20 od powstania PSL do pierwszej wojny światowej — z pozycji konsolidującej się w latach 30-tych lewicy robotniczo-chłopskiej demaskuje zdradę interesów chłopów przez prawię ludową. Nie przeciwstawia się — jak Kaden — politycznemu ruchowi chłopskiemu, lecz obnaża jego klasowe zwyrodnienie. Ujawnia przechodzenie oficjalnych przedstawicieli chłopstwa galicyjskiego na pozycję burżuazyjno-obszarncze.

Kaden uświłował pograżać ruch ludowy w oczach mieszczańskich, faszystowskich i faszystowskich czytelników, a więc obiektywnie przeciwstawiał się interesom wsi — Kruczkowski przeprowadził ocenę prawicowego nurtu w ruchu ludowym z punktu widzenia interesów biedoty wiejskiej, sojusznika proletariatu.

Kaden atakuje z zewnątrz — Kruczkowski walczy z burżuazyjnymi agenturami żerującymi wśród biedoty i średniaków.

„Pawie pióra” były po wcześniejszym o trzy lata „Kordianie i chame” drugim ogniem projektowanej trylogii chłopskiej Kruczkowskiego. — „Kordian i chame” zajmował się wsią pańszczyźnianą z lat 1828—30. „Pawie pióra” — historyczna już z perspektywy lat trzydziestych powieść o wsi galicyjskiej przed I wojną światową — przynosiła jeden z najwcześniejszych w naszej literaturze konsekwentnie klasowych obrazów społeczności wiejskiej.

Odpowiednikiem ideowym rozwarstwienia klasowego wsi galicyjskiej jest rozbiście politycznego ruchu ludowego na dwa, a właściwie — liczące chłopów oddanych bezpośrednio w służbę stronnictwa klerykalno-obszarnczego — na trzy oddany, reprezentujące interesy i ideologię odrębnych warstw chłopskich.

Wreszcie druga powieść Kruczkowskiego, jak wszystkie jego utwory, zawiera nurt polemiczny z oficjalną interpretacją zjawisk społecznych przez ideologów burżuazji. Tym razem jest to polemika z młodopolską ludomanią, przez której okulary wsteczne ruchy mieszczańskie widziały „bajeczne kolorowy” wieś kułacką i parafialną, nie dostrzegając zaś wsi drobnonrolnej i wyrobniczej, szarej i zbiedzzonej, wsi ze Szczepanowskiego „Nędzy Galicji” w cyfrach.

Więć rozwarstwiona klasowo, wieś ostrej walki klasowej — rozbiście PSL — i tytułowe, ironiczne „pawie pióra” — przesłaniające mieszczechowi prawdziwy obraz chłopów — te trzy zasadnicze tematy powieści są w niej związane niemal nierozłącznie.

OCZAMI MARKSISTY

„W przeciwnieństwie do „Kordiana i chame” — pisał Kruczkowski w wydawie prasowym w r. 1934 („Tygodnik Artystów” nr. 1) — gdzie przesłaniające mieszczechowi prawdziwy obraz chłopów — te trzy zasadnicze tematy powieści są w niej związane niemal nierozłącznie.

wiejskiego posiada już własną wewnętrzną dynamikę klasową, linia przeciwieństw rysuje się pomiędzy chłopem-bogaczem, a biedotą małopolską i bezrolną. Krótko mówiąc, stara treść nierówności społecznej odbudowuje się na nowej płaszczyźnie”.

A oto realia opisywanego czasu i miejsca:

Polityka ekonomiczna imperializmu austriackiego zmierzała do utrzymania Galicji w stanie zacofania przez zatamowanie rozwoju przemysłu miejscowego i stworzenie rynków zbytu produkcji własnej. Brak odpływu nadmiaru sił roboczych do przemysłu powodował olbrzymie przeładunki i pauperyzację wsi galicyjskiej. Na przełomie wieków chłopci stanowili ponad 80% ludności „Wielkiego Księstwa Galicji i Lodomerii”.

Olbrzymią przewagę mają w tym gospodarstwa drobne i karłowate. Dość trzeba, że przy prymitywnym w tej dziedzinie gospodarce rolnej nawet przyjęta tu granica parceli 5-hektarowej nie gwarantowała liczonej zazwyczaj rodzinie posiadacza choćby względnego dobrobytu.

Nieodwrotny w tych warunkach proces wypychaży ziemi przez biedotę oraz powstawanie proletariatu rolnego drogą licytacji za długi — skupiały ziemię w rękach zamożnego chłopstwa. W tym samym kierunku działał równomierny, choć postępujący powoli wraz ze spóźnionym rozwojem kapitalizmu, rozkład wielkiej własności. Akumulacja ziemi w rękach kułaków była jednak procesem w gruncie rzeczy pomyślnym dla ziemianstwa. Zagrożone widmem rewolucji przez radykalizację wsi, dążyło ono do stworzenia możliwie silnej warstwy kułackiej, która stanowiłaby skuteczną zapórę przeciw „wyrotowym agitacjom” mas chłopskich.

Skoncentrować konflikty klasowe wewnątrz samej wsi, przeciwstawić sobie mniej liczną lecz górującą ekonomicznie warstwę większych posiadaczy chłopskich i masę biedoty, aby uchronić własne posiadłości — w tym kierunku zmierzały programy konserwatywnie obszarncze w Galicji na przełomie wieków.

Program taki w końcu XIX w. z całym klasowym cynizmem sformułował lwowski publicysta konserwatywny, dr. Jan Hupka. Rozprawa jego p.t. „O własności wspólnie używanej” dała Kruczkowskiemu, jak wyznał w rozmowie z K. Wyką („Tyg. Ilustr.” nr. 34/1935), „cały węzeł ideologiczny”, który następnie „rozprowadził w Pawich piórach”. (Wiele innych szczegółów historycznych i obyczajowych, w tym sam opis parcelacji, znalazł m. in. w „Pamiętnikach włościanina” Słonki z r. 1912).

„Hupka — mówił Kruczkowski — zastanawiając się nad koniecznością wzmocnienia gospodarczego wsi polskiej, dochodził do wniosku, że najpewniejszą ku temu drogą będzie wytworzenie na wsi płytkiej ilościowo lecz silnej gospodarczo warstwy zamożnych chłopów, związanych interesami swymi z dworem i klerem, a nie z chłopem małopolskim. Tę warstwę reakcyjnych kułaków najprościej wytworzyć się przez podział między bogatych gospodarzy „własności wspólnie używanej”, pastwisk gminnych itd... Naturalnie cynizm klasowy Hupki jest w tym, że nie wspomni, iż do tego samego celu dojść można było również dobrze przez parcelację większej własności. Wzmocnić wieś, osłabiając wieś — oto metoda”.

Stąd, istotnie, po odrzuceniu nacjonalistycznej frazeologii Hupki, pokrywającej właściwie interesy jego klasy, krok już tylko jeden do powieści Kruczkowskiego: osią skąpej zresztą fabuły „Pawich piór” jest parcelacja i sprzedaż gminnego pow. Mielec w powiecie — Chmielec, użytkowanego dotąd przez biedotę wiejską. Wokół tej sprawy skupiają się ekonomiczne i polityczne interesy i namietności całej wsi, dworu oraz miejscowego proboszcza, reprezentującego reakcyjne sfery kościelne. Oprowadzająca przez najbogatszych gospodarzy rada gminna dla złożeń celów wzmocnienia gospodarki narodowej uchwala sprzedaż „marnującego się” jakoby pastwiska, przy czym kupującymi (za niską cenę) są oczywiście sami członkowie rady i ich protegowani. Inicjatorem tak zakrojonego kułackiego spisku przeciw mało- i bezrolnym jest rzadca sąsiedniego dworu Zakulski; oficjalnym projektodawcą — pisarz gminny Płonka (postać wzorowana na F. Magrysiu, autorze „Żywota chłopca-działacza”), miejscowy działacz parafialno-społeczny, pomocnik i mąż zaufania proboszcza. — Sam proboszcz jest właściwym duchem sprawczym i patronem sprzedaży, z której dochód rada za jego poduszeczeniem postanawia przekazać na budowę nowego kościoła i parafii (na szkołę już nie starcza). Silną pięść wójta Biedrawy łamie opór radnego Zychonia — jedynego przedstawiciela małopolskich chłopów w radzie gminnej, a interwencja sprowadzonej zandarmerii austriackiej uniemożliwia masowy bunt zrozpaczonej, bezbronnej biedoty, którą parcelacja pastwiska pozbawia możliwości utrzymania bydła. Ofiarą buntu — pobity wyrobnik, niedoszły emigrant sezonowy na „saksy” — wędruje do więzienia. Interes bogaczy, podparty sojuszem z kościołem i kolaboracją z zaborcą, triumfuje niepodzielnie!

To powierzchowne streszczenie ukazuje podstawowy rys powieści: mechanizm społeczny wsi galicyjskiej roku 1913, ekonomiczne podłoże konfliktów klasowych, podstawa różnic ideowych chłopstwa — ukazane są na tym jednym przykładzie.

dzie dobitnie i z przejrzystością wrecz zdumiewającą!

Ta „żelazna konsekwencja” autora — wyrażająca się w domyśleniu do końca problemów ideologicznych i w przekonującym kształcie artystycznym powieści, skomponowanej, mimo pozorów, sprawnie i wrecz misternie — była przedmiotem ataków krytyki burżuazyjnej, która zarzucała autorowi, że w jego konstrukcji zbyt często słychać chrzęst naciąganej jakoby do dogmatu klasowego maszynierii społecznej — że chłodne żelazo tej konsekwencji nie może być przedmiotem przeżycia estetycznego (Irzykowski) itd. itd.

Ta sama cecha była jednak wysoko ceniona przez krytykę postępową, która w konsekwentnym rozwijaniu dialektycznym naczelną tezę powieści widziała sprawdzian wyższego (w stosunku do „Kordiana i chame”) stopnia rozwoju ideologii politycznej i artystycznej autora („Lewar”).

W istocie, na jasność „Pawich piór” mógł się zdobyć tylko marksista. Całą obyczajową stronę wsi: kąpiele rzadcy; miłość Tereski i miłośki Karelusowej; stosunek wyrobniczy Madejki do bogacza Karelusy, właściciela uprawianej przez nią działki oraz troski tegoż Karelusy o żonę, własny witraż w kościele i opinie wychowanek-kleryka; nędzę Madejki i pamiętnikarstwo Płonki-Magrysi; werbowanie na „saksy” i życie gromadnie w karczmie; procedurę akcji wyborczej i życie plebani; wyjazd chłopów na roboty do Prus i jakże odmienną podróż „działacza” wiejskiego na pańską uroczystość w Krakowie... oraz wiele dalszych szczegółów — zobra-

zowanych, zdawałoby się, tylko dla oddania „kolorytu lokalnego” — umiał Kruczkowski przedstawić bez szminki na kanwie walki klasowej. Walka wspieranego przez proboszcza i wójta sklepikarza „chrześcijańskiego” z żydowskim konkurentem służy mu do zdemaskowania właściwego sensu klasowego antysemityzmu. Pomoc udzielona sklepikarzowi przez posła ludowego w zamian za agitację wyborczą — odkrywa czytelnikowi nową pozycję polityczną sejmowego reprezentanta chłopów.

„Anatomia klasowego układu sił w przedwojennej wsi galicyjskiej jest przeprowadzona konsekwentnie i wytrwale aż do końca”. Wybór typowego konfliktu czasu i miejsca oraz trafne widzenie rzeczywistego układu sił klasowych są poważnym argumentem realizmu Kruczkowskiego.

Jedynym bodaj zarzutem, jaki można by realizmowi temu postawić (uczynił to recenzent „Lewara”, nr 7—1935; stamtąd pochodzi też poprzedni cytat), jest oderwanie wydarcza w Wierzechowicach od procesu rozwoju kapitalizmu w Austrii. Autor mógł uniknąć tego, gdyby choć „na odległym planie zarysował przeciwieństwa między interesami ludu wiejskiego (i nie tylko wiejskiego) — a interesami burżuazji miejskiej w Galicji i polityką gospodarczą rządu wiedeńskiego...”

Lecz stosunki między wsią i burżuazją miejską reguluje w „Pawich piórach” już inne zagadnienie: pańszczyznę Kruczkowskiego — pisarza, publicystę, działacza — polemika z ludomanią. d. c. n.

Zbigniew Wasilewski

JAN NAGRABIECKI

Wiersze PRAWDA

Prawda z cukru i z maki i z ryżu,
z żelaza i z drzewa, z Warszawy, z Paryża,
z bólu, z radości, z krwi i z kości,
z czysty i z ciemności, jasności,
z potrzeby i z chęci, z ognia i z wody,
z dosytu i pełni, z braku i z głodu,
inna moja i twoja, mnie i tobie,
bo nie nie mam, ty wszystko: walczymy ze sobą.

PROFIL WARSZAWY

Z gliny muruję Młłowe powietrze,
cisza wschodzi, cisza, piętrzy się!
Noc wypuszcza oczko gwiazdki,
zielony ognik astronomicznego obrazka.

Pokoleniami idą blaski, niebieskie gońce,
aż zlepi się śpiącej ziemi trawa
z lejącą z nieba grudą słońca
i wędzie podług murowanej Warszawy.

Skaleczyłem dłońe szybkości tęczy,
uniósłem obłok liliowego powietrza
i kreśliłem linie spiegiel dźwięczyny
na tle rymny i ciepłej ruiny.

POKLON ZIEMI

On schylił się nieuważnie
i zdeptał kwiat.
Nie zmartwił się,
bo sam na froncie padł.

On schylił się do ziemi
tak nisko,
że stał się ziemią,
wiatrem, potasem, próchnem,
[żelazem, ogniskiem].

On schylił się nad twarzą,
po której płynęła łza.
On brał w ręce tę twarz,
on brał w ręce bóle i troski,
[które zna].

Brał w ręce i podnosił wysoko,
żeby wszyscy widzieli.
A potem chował głęboko
do ziemi.
On schylił się uważnie nad

*

Z gliny jest słuch mój,
z prochu spojrzenie
niebieskie jak niebo,
fioletowe jak wieczór
poranne jak woda —
to wszystko prochu rój
krąży jak krew w żyłach:
świat a uroda.

W czysty jest słuch mój,
w gwiazdach i księżycach,
w słońcach i molekulach.
Echo rośnie spod młotki
i hebla jak gotycki pułap,
który dotyka gwiazd.

W NOC POCHYLONĄ

Stokrotko nieżywa, martwy obrazku!
Przebita cieniem ptaka,
zdmuchnięta skrzydłem z tego świata
gwiazdka byłaś ziemi, błyszczącym jej znakiem.

Oczy liściastej nocy
szukają ciebie tu pokryjomy,
a ty w butelce obcego domu
wolaś mdlejącą pomocy.

Dom ci zbuduje z echa,
stokrotko, alegorio człowieka.

Jan Nagrabiecki

Na następny rok szkolny Czesław i Nisia umieszczeni zostali w Warszawie w wujostwa Marchewków. Ciotka Weronika była rodzona siostrą ojca, w czasie wojny przeżywała kilka razy z dziećmi o Wojtyńskich.

Wujostwo Marchewków mieszkali na Powiślu, na ulicy Sowiej, na czwartym piętrze w ogromnej kamienicy, zamieszkałej prawie wyłącznie przez biedotę. Dom liczył ponad sto lokali w większych jednoizbowych. Stróż był władcą lokatorów.

Tęgi, hardy, pokrzykiwał na wszystkich z góry, a dzieciaki uwijające się po podwórku hałasowały, wrzeszcząc, przepędzając kijem i miotłą. Jedynie kłaniał się uniżenie, czapka aż do ziemi, uśmiechając się szeroko, obłędnie — administratorowi kamienicy i zajeżdżającemu niekiedy tutaj samochodem, zresztą bardzo rzadko, jej właścicielowi.

Wujostwo Adamowie zajmowali na czwartym piętrze wąski, długi pokój.

Wejście do dziesięciu innych podobnych pokoi prowadziło z długiego, ciemnego i wilgotnego korytarza, zakończonych małym okienkiem, leżącym do wnętrza mętne i smutne światło. W rogu przeciwnym i tuż obok drzwi mieszkanka wujostwa znajdował się ogólny ustep, niedomykający się, z popsatą często kanaliczającą i zionącą na korytarz uciążliwym, kwaśnym odorem.

Ciotka zajmowała się w ciągu dnia nie tylko gospodarstwem domowym, a więc przygotowywaniem posiłku dla siedmiorga osób, cerowaniem — ciągłych dziur w znoszonych ubraniach, ale przyjmowała jeszcze bieliznę do prania, starając się dorobić trochę grosza. Prala przeważnie u siebie.

Czasami chodziła zaraz z obiadem do większych domów na całe dni.

Szczupły pokój wujostwa przesycony był parą i zapachem mydła. Czesław, odrabiając przy stole lekcje, przyzywał się już do obecności w mieszkaniu, w części objętej wyłaczającym światłem ciotki, wielkiej balii, wyłożonej po wierzchu wypraną bielizną, moknącą w czystej wodzie.

Niekiedy ciotka prala jeszcze po obiedzie, widać było, że jest wtedy porządnie zmęczona, twarz jej stała się czerwona, nabrzmiała, oczy były przekrwione, wyszczerzone na wierzch.

Pewnego rodzaju rozrywkę dla ciotki stanowiły częste kłótnie z sąsiadką, zamieszkałą w drugim podobnym pokoju przy ścianie. Kłótniami takimi urozmaicały sobie monotonne życie kobiety z tego korytarza, jak również i z położonych na niższych piętrach.

Zawsze w kamienicy słychać było wrzaski bliższe i dalsze — powasniowane kobiety miały zwyczaj wyskakiwać na korytarz i załatwiać swoje spory publicznie.

Używały wtedy głosu silniejszego i o brzmieniu niejako oficjalnym, padające argumenty miały znaczenie szersze, wyrastały z ogólniejszych zasad życiowych. Udawano sobie fatalne wady charakteru i chęć działania na szkodę bliźniego, z ogromnym uporem i z nadzwyczajną starannością w gromadzeniu dowodów.

Zdarzały się incydenty drobne, krótkotrwałe, załatwiane zawsze przy pomocy dość głośnych wrzasków i dotkliwych obelg, ale ostatecznie — orientowano się w tym dobrze — były to spory bez głębszego znaczenia i nie zaprzatały zbytnio uwagi mieszkanców.

Ale co jakiś czas, dość regularnie, nigdy przy tym zbyt długo na to nie czekało się, wybuchały awantury generalne, ciężkiego kalibru, w których usiłowano załatwić ostatecznie i do końca wszelkie sąsiedzkie porachunki. Odbywało się to oczywiście na korytarzach, niejako na oczach społeczeństwa i wtedy już początkowo, spazmatyczne krzyki, rodzaj pierwszych obelg wpadały alarmująco w uszy, doskonale pod tym względem doświadczeni inni kobiety i dawali im znać, na jak ważne rzeczy zanosili się.

Wtedy zbiegały się zewsząd na tamten korytarz, kobiety, panny, małe dzieci i obserwowali kłótnie w głębokim milczeniu, z tępa nieustępliwością, nie tracąc nic z przebiegu i atrakcyjności sporu.

Widzowie zdawali się być pochłonięci jakby jakimś widowiskiem teatralnym, które należało zobaczyć do końca, gdyż przedstawiało ono najprawdopodobniej, pouczające sceny z życia. Kobiety zaś kłóciły się tak, jakby nie chciały zważyć całej nadziei widów, i zdobywały się na krzyk jak największy, który miał świadczyć o tym, iż chodzi tu o rzeczy ostateczne.

Oburzali się najwymowniejszymi wywiskami, głośno i bezceremonialnie zdarzały najbardziej skryte, a jak najgorsze wzajemne o sobie opinie. Ubrojone w miotłę, szcetkę lub pogrzebaczkę przyskakiwały co chwila do siebie, dzieliły się kilkoma porządymi ciosami, aby odwieść znow i wywrzaskiwać na siebie tym zjadliwie.

Trwało to tradycyjnie całymi godzinami, wprost w nieskończoność, i jak zwyczaj nakazywał, kończyło się wrzeszczącą bójką zapamiętalaną, w której uszkodzenie przeciwników polegało głównie na wydzieraniu obu garściami kudłów z głowy.

Gdy ciotka Weronika usłyszała krzyki, zapowiadające tego rodzaju kłótnie, rzuciła pranie choćby nawet najbardziej pilne i czym prędzej zbiegała na właściwy korytarz, aby, ogarnięta nerwową zadumą, postać tu w kręgu patrzących — choć z gozdziną.

Co dwa, trzy tygodnie, ciotka zabierała się poświęcając na to kilka dni pod rząd, do solidnego wycierania skarpet męża, pończoch dzieci, wypererowania koszul, ubrań i wszelkiej bielizny domowej, świeżo przez nią wypranej.

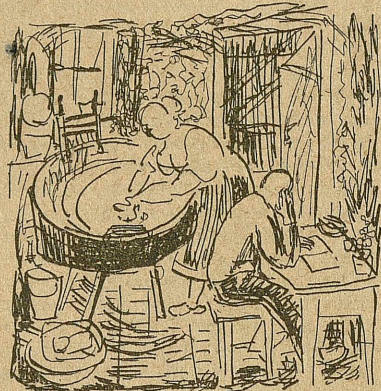
Reperowanie zajmowało jej czas wyłącznie do tego stopnia, iż w tych dniach prawie cały obiad przygotowywała babka, ku niezadowoleniu domowników, bo obiad składał się wte-

dy z prostych, niewybrednych i nieapetycznych potraw wiejskich.

Ciotka cerowała, szyła bez przerwy, niezmordowanie, pochylona nad stołem bielizny i ubrań. Co chwila odwijala się stojących obok wielkich szpul nitkę białą lub czarną, nawlekała ją z wielką wprawą i z niezwykłą szybkością na igłę i dalej oddawała się pracy, pograżając się przy tym w jakichś niezwykle głębokich rozmyśleniach.

Przy okazji wielkiego, miesięcznego cerowania ciotka zdawała się odprawić zarazem wielką zadumę nad jakimiś sprawami, niezwykle ją przejmującymi.

Rozmyślała być może nad całym swoim życiem, sięgała w najodleglejsze czasy, wspominała młodość, lata panieńskie, zakochanie się w wuju, wyjęcie za niego za mąż — później swoje życie z nim, trudny i ciężką pracę na kawałek chleba. Zastanawiała się może nad tym swoim wujem, może żałowała, że nie wydała się za mąż inaczej, lepiej, za kogoś kto by umiał zdobyć pieniądze, odpuścić biedę, uczynić jej życie innym, lepszym.



W pewnej chwili ogarniała ciotkę zaduma tak silna, że przestawała cerować, igła wysuwała się jej z palców i ciotka patrzyła przed siebie dumna, nieruchomo, nie widzącymi oczami. Gdy wreszcie ocknęła się i sięgała po igłę, spostrzegła naraz, iż nigdzie jej przy niej nie ma, wtedy przerażenie odbijało się na jej twarzy, oczy stawały siłupem, ciotka podrywała się z krzesła i rzuciła się na łóżko, pokój napieniając krzykiem: — Połknęłam igłę! O, Boże, połknęłam igłę! Już umieram!

Przy scenie tej, widzianej przez Czesława po raz pierwszy, obecny był i wuj. Czesław zdumiał się, gdy wuj nie przejął się zbyt mocno niebezpieczeństwem, które się stało. Nie podnosił weale alarmu, nie biegł aby ciotkę ratować; tak wyraz jego twarzy, jak i ruchy zdawałyby zupełnie, filozoficznie spokojne. Nawet nie patrzył na ciotkę, ani nie odrywał się natychmiast od czynności, którymi był zajęty.

Dopiero po chwili siedzi z wolna do stolika ciotki i zabierał się do rzeczowych, metodycznych poszukiwań. Odnajdował szybko igłę i trzymał ją demonstracyjnie w palcach:

— Masz, głupia, swoją igłę! — mówił z flegmą — najpierw szukaj, a potem krzycz!

Ciotka wobec takiego obrotu rzeczy milczała, leżała jakiś czas nieruchomo na łóżku, wreszcie podnosiła się smutna i zniechęcona.

Połknęcie igły zdarzało się ciotce co jakiś czas, od razu wtedy rzuciła się na łóżko, siniła z przestachu, wołała, że igła dochodzi już jej do serca, że za chwilę umrze, żeby czym prędzej wołać księdza (w rodzinach tak biednych o doktorze nie myślano nawet w obliczu śmierci), matkę przywoływała do łóża, aby była obecna w godzinie jej konania.

Staruska znosiła zdarzenie z niezachwianą równowagą ludzi wiejskich, przyjmujących od losu z jednakim, biernym spokojem, tak życie jak i śmierć.

Domownicy wiedzieli już zresztą, iż najlepszym sposobem uzdrowienia ciotki, zamiast stosować jakikolwiek ratunek, który zresztą zwykle jeszcze bardziej pogarszał jej stan, będzie jak najszybsze odszukanie igły, toteż wszyscy rzucali się, by ją odnaleźć.

Czasami wuj miał niedzielną wolną od pracy. Dzieci szły do kościoła, a wuj leżał często w łóżku do południa z głową wtuloną w wielkie poduchy, nakryty po uszy koldrą.

Obiad w niedzielę szykowała ciotka zawsze lepszy. Niekiedy wpadała, na ogół raczej rzadko, dalecy krewni wuja lub ciotki, pojawiała się wtedy na stole karafka wódki i butelka winna żynięgo, wyrabianego przez ciotkę każdego roku na jesieni i przechowywanego w piwnicy. Nastrojów w domu w niedzielę panował weselszy, odświętny. Mieszkanie świeciło czystością, porządkiem. Umiejętnie ustawione przez ciotkę graty czyniły w pokoju więcej miejsca, ubrania, porządnie, choć skromnie ubrane, miały świeżą bieliznę, wuj nakładał również komplet świeżej bielizny, szerszej, z krochmalu, leżącej dla niego uroczystość na kuferku, oraz ubierał się w swój dobry garnitur.

Wyspany, wygolony, z wasami uformowanymi przez binde, minę miał łagodną, dobruśną, wypogodzoną od przynależnej, swojskiej atmosfery mieszkanki.

Niedziela stanowiła niejako rewie całotgodniowej pracy ciotki w domu. Gdy byli goście, stół nakrywano do obiadu ładnym, niepokalanym czystym obrusem, tchnącym radośną uroczystością.

Obrus kupiony był zapewne w tych dawnych czasach, gdy wujostwo myślało o swojej przyszłości jak najlepiej i organizowali gospodarstwo z rozmachem, uwzględniającym przyszłe możliwości dorobienia się.

Ciotka gotowała niezwykle smacznie, porcje dawała bardzo obfite. Czesław przepadał wprost za przyrządzonym przez nią rosolem z ciekim, złoistym makaronem, za schabem z kapustą, przyprawioną na jedyny, niezastąpiony sposób warszawski.

Goście wprowadzali przy obiedzie od razu wielką wesołość. Było po pro-

stu w zwyczajny przychodził na wizytę z minami jak najweselszymi, sypać nieustannie żarcikami, śmiać się głośno, szczerze, z całego serca. Kobiety od razu zaczynały pomagać gospodyni w nakrywaniu stołu, wykonywały za nią drobne czynności kuchenne, solidarnie podejmowały zaraz wszelkie, nastrożające się czynności domowe.

Mężczyźni tchnęli energią, pogodą, dobruśnością, mówili dużo, hałasowali, z należytą powagą i z przejęciem się, głównie o zarobkach, o możliwościach pracy. Rozważania te cechowały żmudne, uparte, wprost maniackie myśli, jakby to zrobić pieniądze, jakby założyć niezależny, własny interes, który by przy małym nakładzie pracy i kosztów dawał duże zyski. Naturalnie w interesie takim pracowali by najcięższe. Nie rzadko dyskusja na tego rodzaju tematy rozpalala się tak bardzo, iż trwała aż do kolacji, na którą ciotka w zrozumieniu twardych praw gościnności, stawiała w obiektywnym milczeniu nową karafkę wódki.

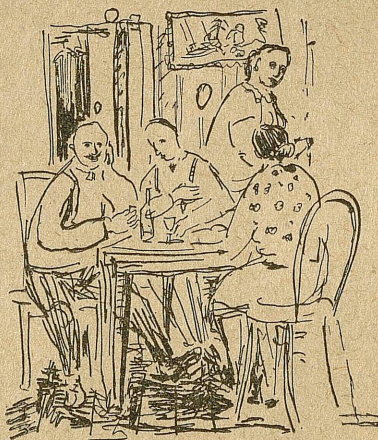
Rozmowa stawała się szczególnie zaciekała, podniecona, gdy na obiad przychodził z żoną, ładną kobietką o okrągłej, zdrowej buzi, uśmiechającą się mile, szwagier wuja, Mietek, młody człowiek, warszawski frant.

Sredniego wzrostu, szczupły, przystojny, tchnący niedzielną, niedbałą, trochę apasowską elegancją, twarz miał bladą, ściągniętą surowością nieco zdeteminowaną, spod której przebyskiwała niekiedy rozpaczliwa — jakas niecierpliwość. O ruchach nadto może pewnych siebie, robił wrażenie człowieka zbyt wiele o życiu wiedzącego, ale powierzchownie, błędnie, posiadającego przy tym zbyt dużo doświadczenia w złem. Zaciekał, ale i niepokoił.

W rozmowie wypływał od razu na wierzch, mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu, nieco sztywnym i narzucał słuchaczom swoje sądy. Nawiedzały go coraz to inne, coraz bardziej szczeniawe (tak sądził) i śmiały pomysły co do tego, jak zerwać z dotychczasowym psim życiem, przy których człowiek ciężką harówką zdobywałby niedzne grosze i założył wreszcie porządną interes, przynosząc odpowiednio zyski. Przekonywał obecnych o konieczności jak najszybszego zabrania się do robienia interesów, bo inaczej nikt się nie wykarska z tej niedzy, biedy. Spokojna, jednakowa praca w swoim fachu nie da.

— Co ty masz ze swojej roboty kelnerskiej? — wołał do wuja Adama, mocno przejętego całą rozmową — a więcej jeszcze wódka i na to konto lejącego od nowa do kieliszków — to, że nie możesz wyżyć z tej harówki i twoja kobita dorabia praniem! A Felek jako murarz, ile zarabia? I czego się dorobi? Zebractwa na starość? A Antos z krawiectwa ledwo może wyżyć! Nie, to nie droga do floty! Trzeba pomyśleć o jakimś własnym interesie!

Szwagier Mietek z zawodu był subiektem i sam właśnie od dłuższego czasu nie pracował. Ciagle zakładał własny interes i jak mówił kombinował. Ale jak dotąd żadnego interesu, „otworzyć” jakoś nie mógł. Prawie ciagle był bez pieniędzy, w zimę chodził w lekkim warszawskim palietku i w cienkich kamazkach. Całymi dniami szlifował bruki w pogoni za jakimś uludnym interesem, a jako „kombinowanie”, jak dotąd polegało jedynie na tym, iż pożyczal pieniądze od kogo się tylko dało. A i dzisiaj wujostwo Adamowie liczyli się z przykrą koniecznością, prawdziwie żli w duchu, iż po kolacji szwagier Mietek odciągnie z ostentacyjną dyskrecją wuja Adama na



bok i w serdecznie poufałym szepcie poprosi go o parę groszy pożyczki pod zastaw przyszłych dochodów w „interesie”.

W pewnym okresie tego swojego kombinowania szwagier Mietek stał się naraz bardzo ważny, niezwykle był zalany i w odwieczny do krewnych wpadał tylko jak po ogniu. Okazało się, że z kilkoma wspólnikami „otwierali” sklepik, narazie mały, na jednej z bocznych ulic.

Szwagier Mietek przeprowadzał teraz, narazie w wyobraźni, wielkie transakcje, dokonywał zakupów, ważny był, krzykliwy, na nie miał czasu. Wkrótce okazało się, że sklepik szedł tylko kilka dni, że żaden ze wspólników nie miał grosza przy duszy, towaru było tyle co kot na palak i wreszcie „interes” spłajtoł, obciążając jego organizatorów sporymi długami.

Szwagier Mietek zaczął znowu szlifować bruki w pogoni za jakimś nowym interesem i dalej kombinował, to znaczy pożyczal pieniądze od krewnych.

W czasie spożywania obiadu rozmowa na tematy ogólne cicha na jakiś czas, poczęto się teraz żartobliwie przekomarzać na tradycyjny sposób, że goście chcą jak najwięcej zjeść, a gospodyni pragnęłaby dać im jak najmniej. Co chwila ta i owa osoba straszyla wyrozumiałe uśmiechniętą i nie przejmującą się ciotkę, i zaraz żądała dwa razy taką porcję, jaką zjada, że wróci od nowa do zupy, aby gospodyni dziś zrujnować.

Ciotka w nieustannym namawianiu podsuwała gościom jedzenie, a oni wołali wesoło: „Starczy, starczy, jeszcze zabraknie!” i wszyscy śmiali się chóralnie, choć dowiec ten znany był tu każdemu już od dziecka.

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

MARZENIA

FRAGMENT POWIEŚCI

a oni wołali wesoło: „Starczy, starczy, jeszcze zabraknie!” i wszyscy śmiali się chóralnie, choć dowiec ten znany był tu każdemu już od dziecka.

W mieszkaniu robiło się gorąco, wesoło, szczeniawo. Kobiety zachęcały mężczyzn by zdjąć odświętne marynarki, uczynili to chętnie i obciągając się starannie, umieścili na wieszakach w otwartej przez ciotkę usznięcie szafie.

Goście rozchodzili się syci, pod chmieleniem, dobruśni o ocieplających ruchach. Całowano się serdecznie i mówiono sobie tradycyjnie przy rozstaniu: „Co zle, to nie my!”.

Coś tylko dwa razy w ciągu kilku miesięcy wpadał na obiad w niedzielę brat wuja Adama, mało znany, obcy jakimś. Nie bardzo wiadomo było czym był on zajmował, gdzie pracował, ale gdy się odezwał, napadał zawsze na panów, którzy jak twierdził, winni byli całej biedzie na świecie. Brat wuja mówił też ale krótko o socjalizmie, na widok bardzo niechętnych twarzy szwagrowstwa milki i myślał o czymś długo i gorzko. Wizyta jego była zawsze raczej nieudana i buzdziła jakieś kwasy. Wuj witał go z chmurą, nieprzejrzaną twarzą, ciotka zachowywała się tak, jakby nie bardzo chciała się z nim przywitać.

Siedział też zwykle krótko, markotnie, nie chciał nie jeść, mimo, że go dość szczerze i z jakąś obrazą w głosie zapraszano, i wychodził zawsze przed obiadem.

Gdy ciotka udawała się do prania gdzieś na miasto, z dziećmi zostawała babka. Jej zadaniem było dopilnować, by nie były głodne, sporządzić dla nich kolację.

Czesław nie lubił tych dni. Babka faworyzowała dzieci córki i to bez obojętne. Jagódka i Antek dostawali po kawałek chleba z zimnym mięsem, pozostawiali z obiadem, Czesław i Nisia, gdy się upomnieli o jedzenie, otrzymywali kromki suchego chleba, wtykanego im przez babkę niechętnie. Toż samo było z kolacją, babka szykowała ją głównie dla dzieci ciotki, Czesław i Nisia musieli być się być czym.

Maż babki, a dziadek Czesława z linii ojca był gorzelnym u księcia Czetwertyńskiego, w jego folwarku na Podlasiu. Umarł zanim ojciec Czesława ożenił się.

Ojciec czasami tylko opowiadał o nim, jak będąc w Powstaniu młodym chłopcem przekradł się z listami do polskich oddziałów, jak sprytnie wyrwał się z koczłom, a nawet zdobył na nich drobny karabin.

Potem ojciec opisywał dzieciom jak wyglądała gorzelnia, w której pracował dziadek. Była to wielka szopa, oświetlona smolnymi pochodniami, strasznie kopcającymi. Tego kopcia dziadek tyle się nalykał, iż zachorował wreszcie na płucą i po paru latach choroby umarł.

Za specjalną przegrodą stały w gorzelni ogromne kadzle, w których fermentował spirytus. Dość często w gorzelni powstawał pożar i kadzle ze spirytusem wybuchały i rozrywały ludzi.

Dalej poza dziadek Czesława, pamięć w rodzinie nie sięgała, ojciec o swoim dziadku nie miał pojęcia. Głuche wspomnienia rodzinne zanotowały tylko, iż służył we dworze i chodził na pańskie. Do roboty na ziemi pańskich chodził równie i dzieci gorzelnego. Ale ojciec Czesława mając lat osiemnaście, uciekł z domu, tułał się po innych dworach jako chłopak do posług, pomonem kucharza, lokaja, wreszcie znalazł się na kilka lat w Warszawie, tutaj ciężko pracując uczył się trochę u jakiegoś studenta, zdobywając pewne wykształcenie. Ciotka Józia plotkując na Wojtyńskich do wujostwa Stanisławów śmiała się, iż ojciec Czesława za młodu po dworach wynosił nosenki pańskie.

Potem Wojtyński z miasta przeszedł znowu na wieś, został gdzieś na folwarku pisarzem a potem ekonomem.

Był porządnym, nie pił, dorobił się trochę grosza, obsprał się i gdy konkurując o matkę Czesława przyjeżdżał do dziadka leśniczego, aby się o nią oświadczyć, ubrany był już w porządne palto z kolnierzem futrzanym, na głowie miał futrzaną czapkę i wyglądał, jak utrwalony się co do tego wieści w rodzinie, nie na ekonom, a na jakiegoś mniejszego dziedzica.

Obowiązki swoje spełniał bardzo dobrze, zwierzczeni byli z niego zadowoleni, pracy nie zmieniał. W majątku hrabiego Krasowskiego siedział już od kilkuset lat, jedynie przedtem na folwarku u mniejszego dziedzica był tylko dwa lata. Nie mógł znieść tam traktowania jego rodziny tak jak rodziny jakiegoś parobka, pokiecił się z właścicielką, a porzucając pracę, wykrzyknął do niej: „Jasnie, jasnie! Zobaczcie, że to jasnie już niedługo zgasię!”.

Ojciec Czesława lubił często opowiadać o tym incydencie.

Ciotka Weronika, siostra ojca, poszła do miasta na służbę, wkrótce ożenił się z nią wuj Adam. Druga ciotka, siostra Weroniki, Wiktorja, była dotąd gospodynią u bogatego inżyniera, pana Mroczkowskiego. Czesław i Nisia wybrali się do niej kiedyś z wizytą. Jeszcze jedna z siostr, Marysia, została na wsi, wyszła za mąż za fornała, ale już swoją dorosłą córkę wydała za samodzielnego, kilkumorgowego gospodarza. Co prawda nie było jej tam lepiej niż w domu.

Babka zostawszy z dziećmi sama, rozczekała przed nimi monotony, smętnym głosem wiejskiej baby, różnie, nie zawsze składane opowieści. Po wizycie brata wuja Adama, jakby chciała przeciwdziałać jego poglądom i dopilnować by dzieci wychowywały

się według właściwych, chrześcijańskich zasad, oburzała się że brat wuja występuje przeciwko panom. Gderała monotonią, spokojnie, patrząc gdzieś przed siebie małymi, starczykami oczami, tkwiącymi w twarzy pokrytej zmarszczkami, noszącej ślady licznych trudów i trosk i zniechęconej jak maska, że na pana nie można nic mówić występować, bo pan daje żyć biednym, daje im pracę, opiekuję się nimi.

„Bez panów biedni by poginęli! — mówiła babka niemrawo. Dwie są potęgi na świecie — tłumaczyła — Pan Bóg i panowie. Pana Boga trzeba kochać i czcić, a panów szanować. Tak było od samego początku i tak będzie do końca świata, a ten, kto przeciwko temu występuje, popada w grzech śmiertelny, na który nie ma odpuszczenia. Siłę swoją, znaczenie, bogactwa pan otrzymał od Boga, żeby przy nim mogli żyć biedni. Dla panów stworzono inne życie, a dla ludzi zwykłych też inne. I kto odchodzi z niskiego stanu, ten grzeszy ciężko. Nie można piąć się po zbyt wielkie zaszczyty, bogactwa, trzeba żyć skromnie, ciężko pracować i chwalić Pana Boga. Takim życiem człowiek nie grzeszy i zasłuży na łaskę i odkupienie wieczne.”

Człowiek biedny może się tylko napatrzyć, napodziwiać jak pięknie i dobrze żyją panowie, w jakich to mieszkałają pałacach, jakimi jeżdżą powozami zaprzęgniętymi we wspaniałe konie. Panowie nie pracują, pan jest nie do pracy, ma do tego służby aż za dużo. Pan tylko przyjmuje gości, wyjeżdża sam w goście, w ogóle często wyjeżdża i gdzie indziej. Zawsze jest zajęty ważnymi sprawami. Nie na nasze głowy są pańskie sprawy! — mówiła babka z jakimś podziwem.

STEFAN IGNAR

„OD KMIOTKA

Autor podjął się bardzo pożytecznej pracy, chcąc dać historyczny przegląd czasopism, wydawanych dla chłopów w ciągu XIX i na początku XX stulecia.

Syska rozróżnia 3 rodzaje prasy ludowej, występujące w chronologicznej kolejności: 1) czasopisma dla chłopów pańszczyźnianych, 2) czasopisma oświatowe i umoralniające „dla ludu” w okresie pozytywizmu, 3) czasopisma, będące ekspozytorem ruchu ludowego. Takie rozróżnienie jest słuszne. Z tych trzech działów autor najłatwiej opracował głównie czasopisma oświatowe dla ludu, czyli „Gazetę Świąteczną” i „Zorze”. Gazety pańszczyźniane zostały przedstawione przejrzysto, choć z koniecznością po kronikarsku. Pisma ruchu ludowego przedstawił autor w interpretacji polemicznej, angażując się w zdecydowanie po stronie ich nieskazitelnego postępowości, a nawet rewolucyjności.

Pierwszym z podstawowych braków opracowania jest brak tła przeobrażeń ekonomicznych w rolnictwie w XIX w. oraz pominięcie polityki agrarnej rządów zaborczych i polskiej szlachty, jak również związanej z tym sprawy ruchów chłopich. Zamiast błędów i ogólnikowego wstępu o wpływie filozofii racjonalistycznej i fizjokratyzmu, powinien był autor dać charakterystykę historyczną — gospodarczą XIX wieku ze szczególnym uwzględnieniem kwestii rolnej czyli rozwoju kapitalizmu na wsi. Ten brak nie pozwolił autorowi na właściwe ujęcie wartości i znaczenia czasopiśmiennictwa ludowego.

Wymieniony brak stał się przyczyną błędnego postawienia zagadnienia prasy ludowej na tle oderwanej od ustroju idei niepodległościowej i abstrakcyjnego postępu oświatowego. W ten sposób autor uległ sugestii samych pism i ocenił je w ich własnej płaszczyźnie ideowo-pedagogicznej. Pomimo intencjonalnego uznawania idei sojuszu robotniczo-chłopskiego, stanowisko Syski jako historyka jest staroświecko-ludowe, agraryczne. Autor w sposób mechaniczny wywalał przykłady deklaracji sojuszu z robotnikami, lecz tkwiący głęboko w jego świadomości staroświecki, ponadklasowy patriotyzm i organicizm skłaniają go do przepłatkania pochwał dla księdza Prusinowskiego, Promyka i Brzezińskiego z wysuniętymi zagadnieniami sojuszu robotniczo-chłopskiego i hasłami spóźniejszości produkcyjnej. Syska tak dalece nie orientuje się we własnych niekonsekwencjach, że przytacza, jako autorytatywną, opinię Zygmunta Wasilewskiego o konieczności „uznawania ludu”, z którą Wasilewski występuje przeciwko typym, tkwiącym w feudalizmie proboszczom.

Podobnie jest z Sieroszewskim i P. O. W., w zakończeniu wywodów o „rewolucji” zaraniarskiej.

Jesliżbyśmy oceniali książkę Syski, opuszczając wybraną przez niego „Zarania” antologię wypowiedzi o sojuszu chłopsko-robotniczym i kooperacji produkcyjnej w rolnictwie, to trzeba by ją postawić w rzędzie „postępowych” opracowań szkoły Bujaka w „Bibliotece dzieł o kulturze wsi” z tą różnicą, że opra-

Niekiedy opowiadała bardziej szczegółowo dzieciom, jak to pięknie panowie żyją. W tych jej opowieściach, przejętych lekimi i podziwem, objawiał się kult maluczkich dla wszelkiej siły tego świata, tajemne uwielbienie bujnego, barwnego powodzenia w życiu, co właśnie uosobiali sobą panowie.

Babka przedstawiając życie w pałacu księżym, opisując niezdarnie jego wspaniałość, przechodziła zarazem do legend, klechd i baśni, krążących wśród ludu. W bajkach tych występował również i panowie.

Babka w szczególności nie pochwalała tego, że Czesław i Nisia chodzą do „wysokich szkół”, że jej syn, a ich ojciec wysłał je na naukę, aż do tak wielkiego miasta i że tyle go to kosztuje. Miała mu za złe to marnotrawstwo grosza i pięcie się ponad stan. Była przekonana, iż nie dobrego z tego nie wyjdzie, że nie może wyjść. Owszem dzieci należy coś nieco nauczyć, czasy są teraz nieco inne, ale nie zanadto, żeby się potem własnych rodziców nie wyrzekli. Niech zdobędzie jakiś fach, da im to spokojne, skromne życie i uczelny kawałek chleba. A jak się kto za bardzo wspinie na górę, to tylko wynika z tego nieszczęście.

Dość częstym gościem na Sowiej była siostra ciotki Weroniki — ciotka Wiktorja. Miała ona już ponad pięćdziesiąt lat, była wysoka, tęgą, jej twarz była duża, rumiana, o chłopskich rysach, odznaczała się końskim zdrowiem i ogromną siłą.

Niekiedy w czasie swojej długodzinnej wizyty pomagała siostrze w praniu. Choć pracowała dokładnie, jak najstaranniej, załatwiała się bardzo szybko ze stosem bielizny. Jej małe, siwe oczka w mięśnistej twarzy,

cowania uczniów Bujaka są na wiele wyższym poziomie naukowym. Ale i sama „antologia” radykalizmu zaraniarskiego nie zmienia wartości opracowania, ponieważ autor pomieszał w niej idee Abramowskiego o stopniowym, ewolucyjnym tworzeniu rzeczypospolitej spółdzielczej (na zakupionych od obszarników skrawkach gruntów) z kolektywizacją, do której prowadzi rewolucja i walka klasowa. Oczywiście, materiał wybrany z „Zarania” jest bardzo cenny i może być przy propagandystycznym pożytku użyty, lecz to nie wpływa na zmianę ogólnej oceny opracowania, a mianowicie oceny negatywnej. Zwłaszcza, że autor ujął „Zaranie” zupełnie jednostronnie i opisał je nie jak historię, a jak apologetę.

H. Syska przedstawił błędnie i tendencyjnie nie tylko „Zaranie”, lecz i „Gazetę Świąteczną”. Podobnie pozytywnie ocenił „Gazetę Świąteczną” kapitalistyczni publicyści OZN-u w swym kalendarzu przedwojennym z 1938 r., jak i proboszczowie. Syska nic nowego nie dodał do tej oceny. A przecież „Gazeta Świąteczna” była wojującym i zwyciężającym w pewnym okresie organem kapitalizmu i obszarnictwa. Zastępą Promyka było samo upowszechnienie czytelnictwa na wsi. Wraz jednak z tą zasługą, właściwą dla pewnego okresu kapitalizmu w różnych krajach, Promyk wyrządził wielką szkodę polskiej demokracji, tworząc na wsi i w mieście obóz ideowy zacofanego drobno-mieszczaństwa, panującego nad umysłami chłopów i robotników. Już sama walka „Gaz. Św.” ze strajkami w mieście i na wsi w okresie rewolucji 1905 r. zmusza do negatywnej oceny jej roli społecznej.

Syska podkreśla w wielu miejscach, że nauka szlachectwa historii Polski, jaką szeryży Prusinowski, Grajert czy Prószyński, była pozytywnym dziełem czasopism, choćby najbardziej reakcyjnych. A przecież właśnie taka nauka historii była narzędziem obrony interesów kapitalistów i obszarników.

Dla ilustracji uwag ogólnych przytoczę garść przykładów, usterek i błędów:

Na stronie 8 przytoczony ze Świętochowskiego cytat Cox’a jest dowolnie poprzestawiany. Również na str. 10 dwa przytoczone cytaty są poprzekracane i pomieszczone z własnymi zdaniem autora.

DOBROBYCIE

„W GIMNAZJUM“

patrzyli przed siebie z nierozumnym, bezdusznym fanatyzmem.

Ciotka Wiktorina była niezwykle pobożna, wszystkie jej myśli i cały wolny czas zajmowali księga, kościół i różne sprawy święte. Znała doskonale porządki nabożeństw nieomal we wszystkich kościołach Warszawy, wiedziała kiedy i gdzie odprawia się msza uroczysta i który ze sławnych księży będzie miał kazanie.

Mogła udzielić najlepszej, najbardziej fachowej porady u jakiego księdza należało się wyspowiadać, jakiej mszy w danym dniu wysłuchać. Należało do bractwa różańcowego, chociaż co dzień na jutrze, na różne inne nabożeństwa.

Gdyby mogła, spowiadałaby się i komunikowała co dzień kilka razy i latałaby na mszę od jednego kościoła do drugiego.

Ciotka Wiktorina pełna była szczerego, ostentacyjnego nabożeństwa do Pana Jezusa, zakochana była w nim rzewną, liryczną miłością. Rozpływała się przy każdej okazji nad Jego życiem, nad zdaniami przez Niego cudami, nad Jego męczeństwem i posłannictwem wobec grzesznych ludzi.

O Matce Boskiej przy tym ciotka Wiktorina mówiła mało, wspominała o niej rzadko kiedy, jakby przemilała jej obecność i znaczenie.

Wuj Adam wierzył w Boga trochę może zwyczajowo, ale zatwardziałe. Często pacierz odmawiał na oczach całej rodziny z ostentacyjnym namaszczeniem. W kościele wykonywał skrupulatnie wszystkie znaki nabożne, cisnął się z groźną twarzą, nieprzejadanie do kropielnicy, by zamoczyć palce w wodzie święconej i uczynić na piersiach duży, staranny znak krzyża. Zaraz potem klękał obo wiazkowo, oboma kolanami na ka-

miennej posadzce kościoła, podłożywszy tylko sobie nieznacznie pod kolana chusteczki, by się nie zbrudziło niedzielne ubranie.

Odmawiał dłuższą modlitwę w serdecznym szepcie i gdy z poruszających się z rozmachem ust oddech zamieniał się w parę i ulatując niby dym z kadzielnicy, świadczył niejako o nasileniu aktu pobożności, wuj rozglądał się zaraz żywym, ciekawymi oczami po kościele, badając kto też jest obecny spośród najbliższych sąsiadów.

Czesław patrzył wtedy z mimowolnym uznaniem na objętą odruchową pokorą, ale zażywną twarz wuja i miał wrażenie, że chociaż wuj modli się tak żarliwie, w dalszym ciągu myśli najzupełniej o czym innym.

W wolną niedzielę wuj na ogół starał się być na uroczystej mszy.

Udawali się na nabożeństwo wszyscy z wyjątkiem babki i małych dzieci, zostających pod jej opieką. Do kościoła ubierano się i czyszczono jak najstaranniej, z powagą i skrupulatnością. Należało to niejako do jednego z ważnych przedwstępnych ceremoniałów. Wuj czasami uzasadniał pojęciowo konieczność udania się przynajmniej w niedzielę do kościoła. „Nawet obiad potem lepiej smakuje!” — dodawał z jakimś swoim, praktycznym doświadczeniem.

Ala z nadmiernej pobożności ciotki Wiktorii z lekką podrywał. Powiadał, że jak czasami zdarzają się ludzie, opętani przez diabła, tak ciotka Wiktorina opętana jest przez księży.

W domu wujostwa Adamów najbardziej miano za złe ciotce Wiktorii, iż całą swoją miesieczną pensję oddaje na kościół, aby utrzymać w szczególnej chwale obrazy Pana Jezusa. Ciotka Weronika wspominała o tej szkodliwej siostry, mł-

wiła niezbyt głośno, ale z dużym przekąsem, iż bardziej by ona uradowała Pana Boga, oddając te pieniądze biednym, potrzebującym ludziom. A tu stara matka dobrych butów na zimę nie ma, a córka myśli tylko o odnawianiu ołtarzy kościoła. Ale ciotka Wiktorina nigdy na ten temat nie pozwoliła sobie nic powiedzieć, ogarniała ją najpierw złość, a potem wściekłość niepomówna i gotowa była zaraz urządzić prawdziwie dziką scenę, do czego była zdolna.

W ogóle wizyta ciotki Wiktorii prawie nigdy nie odbywała się bez incydentów. Uważała się ona przede wszystkim za uprawnioną do kontrolowania pobożności krewnych, sprawiała czy chodził do kościoła, kiedy byli ostatnio u spowiedzi.

Ciotka Wiktorina była gospodynią u samotnego pana, z zawodu inżyniera, właściciela jakiejś fabryki. Miał on bardzo ładne, kilkupokojowe mieszkanie na ulicy Pięknej. Czesław wybrał się do ciotki raz z siostrą Nisią, a kilka razy sam. Szło się tam nie od frontu, ciotka zabroniła stanowczo swojej rodzinie przychodzić do niej drzwiami frontowymi, jedynie od kuchni. Prowadziły tam niezbyt szerokie, drewniane, ale w starannym porządku utrzymane schody.

Kamienica była przestronna, zewsząd padała na nią światło. Wypielniało ono podwórce, klatki schodowe, wlewało się wszędzie do wnętrza przez duże okna. W kamienicy unosił się jakiś suchy, przyjemny zapach, tak różny od kwaśnej, wilgotnej, cuchnącej woni, którą zionęło wnętrzu domu na ulicy Sowiej.

Pokoiki ciotki był niewielki, ale utrzymany w nadzwyczajnej obowiązkowej czystości. Całe umeblowanie stanowiło lózkę porządną zasłaną i taki sam jak u wujostwa spory, drewniany kuferek z blaszanymi obręczami. Krył on w sobie całe skromne, pańskie mienie ciotki Wiktorii.

U siebie w mieszkaniu była ona jakaś inna, bardziej dobronczna, miękka, życzliwa. Wypytywała się Czesława ciepłym, rodzinnym głosem o różne jego sprawy.

Siedział na przytulnym stołeczku obok kaflowej kucharki, tochnącej ciepłem i przyjemnymi zapachami i czekając na bardzo smaczny, przyrządzany przez ciotkę poczęstunek (główny powód wizyty) — starał się instynktownie w tych odpowiedziach o sobie, wypaść w oczach ciotki jak najlepiej.

W dalszych pokojach mieszkania panowała tajemnicza cisza. Pan inżynier Mroczkowski rzadko kiedy był w domu. Całe mieszkanie przesycone było jakąś oświeśnioną, czystością, nieruchomym porządkiem i ogromną nudą.

Ciotka już z nawyku przygotowywała dla swego małego gościa jakiś niezwykle smacznie pachnący kotlet; po prostu i ciekawie wyglądała legumina, zalana gęstą śmietaną białą już wysokim stożkiem na oddzielnym stoliku, nakrytym czystą serwetą, a Czesław pogodnie zamysłony, słuchając niby to uważnie pouczającej opowieści ciotki o jakimś świętym, wyglądał przez okno.

Na podwórku panowała jakby przez kogoś nakazana, trwała, święteńska jakaś cisza. Czasami zakłócały ją tylko niegłośne, harmonijne brzmienie okrzyki i śmiechy dzieci, po czym cisza stawała się tym głębsza, tym bardziej wszystko przenikała.

Przez widoczny w górę okna skrawek nieba o takim kolorze jak na świętym obrazku, furknął niekiedy tajemniczo, ze swym niespodziewanym impetem, siwy gołąb. Czesław czuł się w tej chwili, tu przy ciotce, dziwnie przytulnie, bezpiecznie, nasycała go cichym spokojem głęboka więź rodzinna, łączność, wyczuwana podświadomie, jakby z własnymi przedkami, z własnym środowiskiem od wielu lat żyjącym w jednakim losie.

Ciotka pokazywała potem Czesławowi mieszkanie swego pana. Pokoje nie były tak wspaniałe, jak u Chrzanowskiego, ale odznaczały się wielką elegancją i wytwornym smakiem umeblowania.

Czesław dotykał oczami jak czegoś zakazanego, nigdy nie osiągalnego, pięknych, o gustownych kształtach, połykających elegancko krzesła, biurko, stołeczki, patrzył na surowe, o długim włosu, białkawe, to rozkosznie różowawe dywany, zaścilał je szalenie całą wielkością podłóg.

Sypialnia przywodziła miękkość, przyjaznym uśmiechem umiętne stonowanych barw na malowaniach ściennych i obiciach mebli. Żywym tonem był wśród nich srebrzysty połysk lustera.

Czesława ogarniało pragnienie przesiadywania w nieskończoność w tej sypialni, odgródzonej od wszelkich smutków, bled i brzydoty życia.

Pokój jadalny o wielkich ciemnych meblach, ustawionych w schudnym porządku krzesłach, wypełniony głównie ogromnym kredensem, kryjącym w swym wnętrzu tajemnicze, a ponętne bogactwa, tchnął syta wesółą radością życia ludzi, którzy dysponując dobrami tego świata z zupełną swobodą. Czesław zdawał się tu znów odczuwać tajemnym instynktem, że świat ze wszystkimi jego barwami, weselem i obfitością żywności, należy jedynie do takich ludzi, jak jego kolega Chrzanowski, pan inżynier Mroczkowski, posiadający tak piękne mieszkanie.

Zarazem budziła się w nim, narazie nieśmiała i nieokreślona żądza zdobywania kiedys podobnych wspaniałości. Zdawało mu się przy tym, że gdy ukończy swoją szkołę, łatwiej będzie mógł je osiągnąć.

Na ostatek, ciotka uczyniwszy młodego Czesława dość frywolną, wiodła Czesława do łazienki i ubikacji. Gdy Czesław patrzył z podziwem na różne przyrządy i udogodnienia do kąpieli, nie widziane w skromnej, prostej łazience wujostwa Staniewiczów, ciotka chichocząc jakoś ucieszenie i jakby wyuzdanie, pokazywała mu na milcząco, ruchami poufalemi wiszące wszędzie, spore, barwne, i całkowicie nieprzystojne obrazki. Przedstawiały one młode kobiety, albo całkowicie nagie, tak jak je Pan Bóg stworzył, albo też ubrane w bardzo podkaszane koszulki. Ciotka kazała teraz zająć Czesławowi w ubikacji miejsce na sedesie i dopiero z tej pozycji patrzeć na półną pannę. Chłopiec czynił to i oto teraz poza rozebraną kobietą na obrazku przedstawiała się jaskrawo, w pełni nieprzystojnie. Tak samo zawieszono były kolorowe rysunki w łazience, ciotka chichocząc się tak, iż to zawstydzało Czesława, polecała mu nachylić odpowiednio głowę, gdyż dopiero z pozycji leżącej w wannie, dostrzegało się właściwy efekt gołizny.

Potem mówiła do oszołomionego i trochę ogłupiałego chłopca uśmiechając się z filuterną pobłażliwością i poruszając przekornie palcem koło nosa:

— O, bo mój pan to urwis, wielki urwis!

Kiedys Czesław przyszedłszy do ciotki zaraz z obiadu dowiedział się, iż w domu jest pan Mroczkowski i że ma gości, jakąś młodą panią. Ciotka była bardzo zadowolona.

Pod blachą palił się duży ogień, a kuchnia gazowa furkotała błękitnymi, zadzierzgiwymi płominkami. Pokój wypełniony był parą i mocnymi zapachami sosów. Ciotka w białym fartuchu, o policzkach mocno czerwonych, nagrzanych od ognia, uwiłała się jak tylko mogła; zaglądała co chwila do brytanek w piecyku, i długim widelcem o dwóch kołkach badała czy już, tuż, pięknie zarumieniony indyk jest już do statecznie kruchy, polewała go ciemnym, klarownym sosem, dopadała potem zupy, mieszała ją dużą łyżką, zwolna, kolicie, z namaszczonej uwaga.

Obok na stoliku, na dużym półmisku przyprawiała i ustawiała załaski, garniowała wcześniej przyrządzoną sałatkę; w kubie z lodem owiniętym ręcznikiem sterczały główki butelek z wodką i winem, na które ciotka spoglądała również co moment okiem fachowym. Spieszyła się, nie miała czasu by zająć się Czesławem, kazała mu się przy stoliku i czekać, aż będzie wolna. Czesław z tego co się działo w kuchni wyciągał dla siebie korzystny wniosek że i jemu dostanie się coś z tych wszystkich smakowitości.

Z głębi mieszkania dochodził co chwila swobodny, głośny śmiech kobiety, w długim, galopującym pasażu tonów zadźwięczał mocno, hulał, ławie fortepian, wytwarzając nagłe nastroje jakiejś brawurowej bestzroski.

Otworzyły się naraz drzwi i do kuchni wszedł pan Mroczkowski.

— Jak z obiadem? — spytał łagodnym głosem, w którym tała się jeszcze niedawna wesołość.

— W tej chwili zaczynam podawać! — powiedziała ciotka nie odrywając się od rondla.

Czesław patrzył na pana Mroczkowskiego. Wysoki był, przystojny, ubrany elegancko, promieniowała od niego jakaś naturalność, onieśmielająca, pańska sowoboda. Cały był, tak się wydawało Czesławowi, jakiś blizszy, na twarzy miał życzliwy, umiarkowany uśmiech.

Przyglądał się chłopcu z pogodnym zainteresowaniem.

— Kogóż to gości? — zapytał miłym głosem.

— Mój siostrzeniec! Chodzi w Warszawie do szkoły! — odrzekła ciotka pochłonięta głównie swoją pracą.

Pan Mroczkowski podszedł ku Czesławowi, chłopiec podniósł się z miejsca.

— Ładny chłopak! Wygląda na reżutnego! — rzekł inżynier i miłym, przyjemnym ruchem ręki pogładził Czesława po twarzy.

— Czym będziemy po ukończeniu szkoły? — zapytał z niedbałą życzliwością, a gdy Czesław utknął w miejscu z dopowiedzią, uśmiechnął się, wyszedł z kuchni i zaraz wrócił z pekiem drożdży, kolorowych ołówków.

— Proszę! Naprawdę się coś takiego przyda! Co? — spytał porozumiewawczo, z koleżeńską poufalością, i pogładził go jeszcze raz po policzku.

— A proszę nie zapomnieć poczęstować gości! — powiedział poważnie do ciotki i odszedł z kuchni.

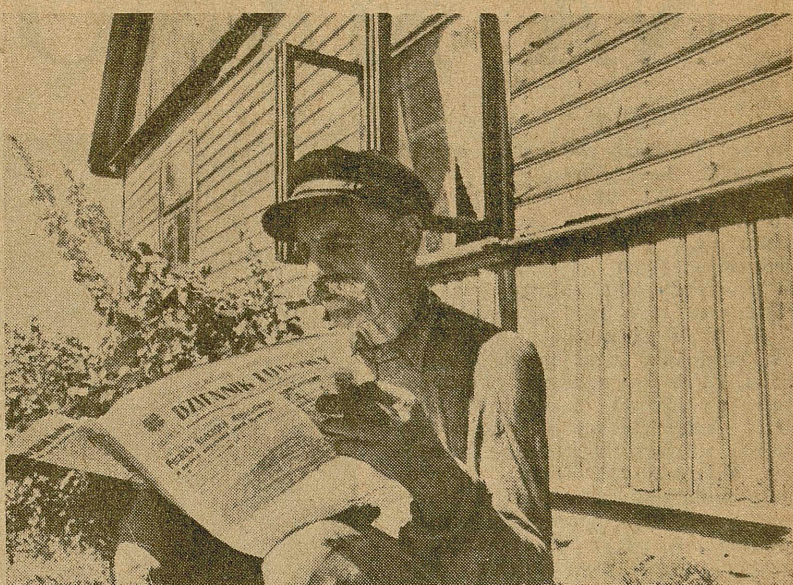
Ciotka chwyciła wielką tacę z talerzami, talerzykami i półmiskiem i z pośpiechem udała się w głąb mieszkania.

St. Łukasiewicz

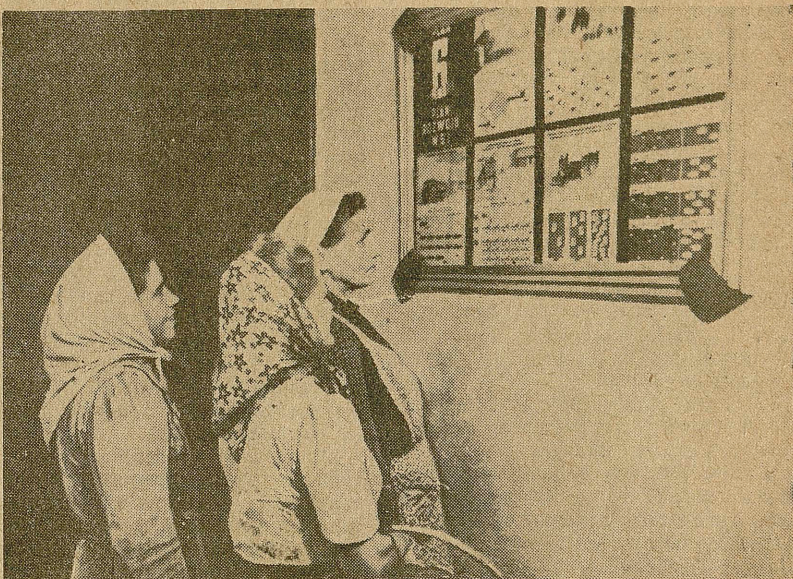
W NUMERZE 48 (227)
TYGODNIKA „WIEŚ” Z DNIA 27
LISTOPADA 1949 R.

Jan Aleksander Król — „My socjaliści a wy ludowcy” (Nad powieściami Władysława Kowalskiego). Włodzimierz Domeradzki — Do brata chłopca. Bronisław Majczak — Z bratem rolnikiem. Józef Ozga Michalski — Ideologia zdrady sprawy chłopskiej. Stefan Ignar — O przebudowę ustroju rolnego. Stanisław Cieślak — Sprawa chłopska u Marksa i Engelsa. Wiesław Jądzynski — Idzie nowe. Arturo Serrano Plaia — Pasterze. Witold Łukasiewicz — Rewolucja październikowa, a niepodległość Polski. Teodor Goździewicz — Nie dla rzadu. Józef Biełnik — Na wiejskich scenach. Edmund Niziński — O reportażu Władysława Blachut — Parafia nad wsią. Tadeusz Papier — Nowa droga. Jerzy K. Maciejewski — Trankacje zamiast bitew. J. Dobuszewski — Na drodze do dobrobytu. Stanisław Mikulski — Nasza i sąsiednie. Komunikat dla uczestników konkursu „Reportaż o wsi”, 21 ilustracji, 8 stron.

Czytelnictwo na wsi



Chłopi czytają prasę. (fot. WAF)



W Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Wigocie Polskiej. (fot. WAF).



Pracownicy P.G.R. w Wigocie Polskiej posiadają bogato wyposażoną bibliotekę. (fot. WAF).



Biblioteka w wiejskiej szkole w Mirkowie.

(fot. WAF).



Książki dla Spółdzielni Produkcyjnej.

(fot. WAF).

DO ZARANIA

ponieważ wypływał ze słusznej obawy zwiększenia wyzysku.

Na stronie 166: Wydobywszy szereg waleń, „Gazety Świątecznej” autor przechodzi z kolei do rejestracji tylko jej potknięć, których niestety nie zdołał się ustrzec odtarny „Pisarz Gazety Świątecznej” — z tego zdania wynika, że autor ma bezkrytyczny stosunek do reakcyjnej roboty politycznej Promyka.

Na str. 179, charakteryzując Stojowskiego, Syska pisze: „Był to bowiem typ raczej działacza nie-ideologa, o uśposobieniu awanturniczym, demagogicznym, umyśle, który nie pozwalał na głębsze rozważanie teoretyczne struktury społecznej”.

Zdanie to świadczy, że autor bardzo nieporządnie przepracował charakterystyki redaktorów i działaczy. Nie silił się nawet na poprawne sformułowania językowe.

Autor dopuszcza się grubego fałszu, twierdząc na str. 218:

„Spotkalibyśmy również tak w tej, jak i w innych dziedzinach życia społecznego głosy zacofane, nie mające wiele wspólnego z postępem. Ale tonęły one bez echa w morzu rewolucyjnej, jak na ówczesne czasy, powodzi zaraniarskiej...” itd. (Mowa tu o obliczu „Zarania” i „zaraniarzy”).

Wiemy i z samego „Zarania” i z doświadczenia terenowego, i z życiorysów chłopków, że nie podobnego nie uurtowało chłopskiej gospodarskiej wsi na początku XX wieku. Wpływem rewolucyjnym ulegli wtedy strąkający farnale, ale nie gospodarze — czytelnicy „Zarania”.

Wydaje się także wątpliwe twierdzenie Syski, że ilość zaraniarzy wynosiła kilkanaście tysięcy. Prenumeratorów „Zarania” było około 4 tysięcy.

Na teście stronie 218 autor twierdzi, że „Zaraniarzami” byli biedni chłopcy. Oczywiście, trafiali się tam i biedni, tak jak do Stronictwa Narodowego oraz do Akcji Katolickiej również należało wielu biednych. Większość „Zaraniarzy” stanowili jednak chłopcy „posesjonaci”, często bogacze wiejscy, mający pieniądze na prenumeratę, na maszyny, nawozy sztuczne, posiadający dosyć krów, aby odstawić mleko dla mleczarni, czas na zebrania i pieniądze na wyjazd do szkół rolniczych.

Najlepszym tego dowodem jest fakt, że kolektywistyczno-utopijny program PZL-u, ogłoszony w 1906 r. przez grono nauczycieli w „Życiu Gromadzkim”, został poprawiony na ideologię staszycowskich kolek rolniczych, bo to było potrzebne bogatemu chłopcom, a nie spółdzielnie produkcyjnej.

Zupełnie nie do przyjęcia jest twierdzenie H. Syski na str. 221:

„Kto bowiem swoje dziecko oddawał do Kruszyńka a nie do Mirosławic, bez względu na to czy był bogaty, czy biedny (a byli różni), kto bez żadnego nacisku, lecz z własnej woli stawał w szeregu walczących o sprawiedliwość społeczną, czytając „Zaranie”, ten automatycznie wykroślał się z szeregu kulactwa”.

Sądze, że z szeregow kulactwa można się jedynie wykroślić przez utratę kulackiego gospodarstwa, o-

partego na wyzysku. Nawet nie zawsze i to skutkuje. Czasem po utracie kapitalistycznej podstawy ekonomicznej, nadbudowa ideologiczna utrzymuje się bardzo długo.

H. Syska, choć chce być historykiem, nie pamięta o kalwinizmie polskiej szlachty, walczącej z klerem o dziesięcinę i o jurysdykcję. Nie wie także o komplikacjach ustrojowych na przełomie feudalizmu i kapitalizmu, nie wie o wewnętrznych sprzecznościach ustroju klasowego. Dlatego w sposób naiwny, a także i tendencyjny wyolbrzymia ruch zaraniarski (który przecież był w swoim czasie postępowy) do rozmiarów burzy rewolucyjnej. Jest to nonsens.

Tym fałszywym twierdzeniem Syski przeczą życiorysy własne Nocznickiego i Malinowskiego. Nocznicki dopiero w latach trzydziestych opowiedział się za kolektywizacją, a dla Malinowskiego idea ta była obca do samej śmierci. Przeciż „zaraniarze” z Malinowskim na czele chcieli zrobić z Polski Danię lub Szwajcarię, w najgorszym wypadku ówczesne kulackie Czechy, a nie republikę socjalistyczną, (patrz M. Malinowski: Chłopski ruch zaraniarski, str. 25).

Nie małe znaczenie dla oceny „Zarania” i zaraniarskich szkół rolniczych ma opinia A. Świętochowskiego, uczestnika i sympatyka tego ruchu. Świętochowski na ostatnich stronach II tomu Historii Chłopów pochwała z entuzjazmem „czystość” idei zaraniarskiej i ubolewa nad tym, że przerodziła się ona w „wątliwej jakości” przedsiębiorstwo polityczne” (PSL — Wyzwolenie, walczące o reformę rolną). A przecież Świętochowski był w okresie pisania Historii Chłopów stałym publicystą „Myśli Narodowej” i zdecydowanym wrogiem ustroju socjalistycznego.

Język w omawianej książce jest miejscami napuszony, sztuczny, a w całości ubogi.

Metoda dowodzenia nie jest dość przekonująca. Autor najczęściej bez motywów orzeka o postępowości lub wsteczności jakiegoś pisma lub człowieka. Jedyną ożywienie jawowej kroniki stanowi polemika, przeprowadzona w sprawie „Zarania”, choć i tu Syska skrupulatnie unika momentów drażliwych i nazwisk. A przecież pisać o tych sprawach, nie można uniknąć rozprawy z poglądami pewnych ugrupowań i z ludźmi wstecznymi.

Jaki dorobek wnosi książka „Od Kmiotka do Zarania”?

Dorobkiem autora jest pracowity spis gazet dla ludu, wydawanych na przestrzeni 100 lat. Takiej bibliografii szczegółowej czasopiśm ludowych dotąd nie posiadaliśmy. Kto by jednak chciał zacerpnąć od Syski wiedzy o roli tych czasopism i o wartości ich dla klasy chłopskiej, nie dowiedziałaby się prawdy.

Książka H. Syski nie nadaje się ani do użytku, ani jako podręcznik, ani jako lektura oświatowa — polityczna.

St. Ignar

*) Henryk Syska: „Od Kmiotka do Zarania”. Wydawnictwo Ludowe, 1949.

EDMUND NIZIURSKI

NA MANOWCACH OPORTUNIZMU

I

Trylogia Nexö złożona z powieści „Pelle Zwycięzca” (1906 — 1910), „Ditta” (1917), „Czerwony Morten” (1945—1948) obejmuje okres historii ruchu robotniczego w Danii od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku do lat dwudziestych wieku bieżącego.

Pierwszy etap tego okresu, który skończył się na wojnie światowej to lata względnie „pokojowego” kapitalizmu, które potworzyły w przystosowanych się do oportunizmu partiiach socjalistycznych augiaszowe stajnie filisterstwa, ciasnoty mózgowej, zaprzęta, (Lenin: „Rewolucja proletariacka a renegat Kautsky”) — to czasy pierwszego organizowania się ruchu robotniczego, a następnie jego zwyrodnienia, jego zwęzłowienia na manowce oportunizmu i rewizjonizmu pod osławioną egidą przewodników II Międzynarodówki.

Lata I wojny światowej były ogniwą próbą rewolucyjności ruchu robotniczego. Oportunistyczne partie II Międzynarodówki z próby tej wyszły skompromitowane. Wojna rozbiła glinianą skorupę ich doktrynerskiej frazeologii, za którą ukrywała się zgnilizna ideologiczna i okładająca zdrady. Pseudo-socjaliści, którzy jeszcze w 1912 roku na kongresie w Bazylei pompatycznie słubowali wykończyc nacągającą wojnę do rewolucyjnych celów — w 1914 roku powsechnie głosowali za wojną i udzieliłi pełnego poparcia imperialistycznym i szowinistycznym zamierzaniom burżuazyjnych rządów, wystydiliwie chowając deklarację bazylejską pod zielone sukno.

I część „Czerwonego Mortena” M. A. Nexö, zatytułowana „Kraina Niczyja”, która ukazała się w tłumaczeniu polskim, pokazuje na przykładzie duńskim ten kryzys ówczesnego ruchu robotniczego, odsłaniając tragiczny obraz położenia duńskiej klasy robotniczej, zdradzonej w tym przełomowym momencie przez socjaldemokrację i demaskując kulisy tej zdrady.

Czytelnik powieści „Pelle Zwycięzca” dobrze zapewne pamięta satyryczno-symboliczny sen Pellego. Pellemu, socjaldemokratycznemu działaczowi sñiło się mianowicie, że jest architektem wznoszącym wspaniały pałac, który przemienia się potem w wieżowiec dla robotników. Spełnienie niejako tego „proroczego snu” znajdujemy właśnie w powieści „Czerwony Morten”. Pelle występuje tutaj jako zdradca sprawy robotniczej, który odrzucając koncepcję rewolucyjnej drogi i obalenia siły ustroju kapitalistycznego, stacza się do roli slugasa rodzimej reakcji i usypiając czujność rewolucyjną proletariatu, zaprzęga go interesom burżuazji.

Nexö przedstawia tu czasy, w których nastąpił zdecydowany rozłam w ruchu robotniczym w Danii. Socjaldemokracja zagubiła się na manowcach oportunizmu i reformizmu, — wierni sprawie socjalizmu działacze skupili się wokół sztandaru Rewolucji Październikowej.

Symboltem tego rozbięcia są postaci dwu nierozłącznych dotąd przyjaciół od czasów dzieciństwa: Pellego i Mortena, których drogi teraz rozchodzą się...

II

„Czerwony Morten” to jeszcze jeden obraz świata kapitalistycznego. Odbitkę tego świata otrzymuje Nexö tym ostrzejszą, że naświetlana w płomieniach wojny, kiedy konflikty klasowe stają się wyraźniejsze, kiedy przeciwieństwa ustroju sztucznie dotąd maskowane „powszechnym” dobrobytem występują ze szczególną i żenującą jaskrawą dobitnością.

„Był sobie naród — pisał Nexö — chwalił się swym humanitaryzmem i wolnością inością a teraz wszystko stało się jak szminka i puder a spod nich wyszyczerzyła zęby stara koka — reakcja”.

Lecz obraz świata kapitalistycznego w „Czerwonym Mortenie” ma jeszcze jedną cechę, która stanowi o jego wyrazistości, jest to bowiem obraz kapitalizmu oglądany od strony jego ofiar, od strony proletariatu.

Celem przedstawienia szerokiego obrazu społeczeństwa autor postępuje jako obiektywnym postacią Mortena i jego losami. Z racji swego stanowiska jako pisarz robotniczy, z racji dawnych znajomości — ociera się on o przywódców socjaldemokracji. Przez swą działalność polityczną i literacką, przez środowisko, z którego wyszedł — utrzymuje kontakt z klasą robotniczą. Przez małżeństwo z Verą Hansen — zapoznaje się ze środowiskiem drobnomieszczańskim. Z racji własnych kłopotów finansowych — wnika w machinacje kapitalistów.

Do oddania głębokości zmian, jakie zaszły w położeniu klasy robotniczej przed wybuchem wojny światowej, posłużył się Nexö motywem powrotu z podróży. Człowiek powracający może lepiej od innych uchwycić zmiany, które narastały podczas jego nieobecności niedostrzegane dla ludzi tkwiących na miejscu. Może zaobserwować kierunek i szybkość nurtu zjawisk lepiej od tych, którzy płyną z prądem.

W czasie dwuletniej podróży zagraniczej poznał się Morten z położeniem klasy robotniczej w innych krajach. Uderzyła go rewolucyjność robotników hiszpańskich. Tym większe wrażenie wywołała na nim postawa socjaldemokracji niemieckiej a potem duńskiej.

Cóż bowiem zobaczył Morten w Niemczech?

Człowi przywódcy socjaldemokracji Frank i Bernstein głoszą jaw-



M. A. Nexö

nie szowinistyczne poglądy i apoteozują imperialistyczną politykę rządu, odmawiając prawa niepodległości małym narodom, propagując wyświechtane już dziś nacjonalistyczne hasła „przestrzeni życiowej” i rynków zbytu. Jednocześnie wzrasta antysemityzm jako pierwsza przegródka do ataku na klasę robotniczą. Jakże są przyczyny tego stanu rzeczy?

Zanosi się na wojnę. Imperialiści usiłują zdławić ruch robotniczy by czuć się pewnymi od tej strony. Stąd tumani się masy szowinizmem narodowym i odwraca uwagę od kulisów imperialistycznej wojny. W robocie tej podstawową rolę pełnią przywódcy socjaldemokracji.

„Bonzowie” socjaldemokracji porośli w sadio, otrzymali korzystne synekurki w aparacie państwowym, utyli na łaskawym, choć nie bezinteresownym chlebie burżuazji i lekają się rewolucji oraz perspektyw, które ona otwiera.

Nastąpiło zjawisko wchłonięcia, zasymilowania socjaldemokracji przez burżuazję. Co więcej, burżuazja wdara się do szeregów partyjnych i opowiadała władzę. „Oni podtrzymują i finansują przywódców. Jednocześnie wysługują się wielkiemu przemysłowi i pracują na rzecz plutokracji”. Takim typem jest dr. Servus: „mieszanka wojennego spekulant, niemieckiego partyjnego przywódcy, bicia na Polaków”, z którym Pelle dobił targu sprzedając duńskich robotników do pracy w niemieckim przemyśle wojennym. Tą brudną robotą nie potrzebują się wżierać parac sami kapitaliści, od tego mają socjaldemokratycznych agentów. Socjaldemokracja niemiecka i socjaldemokracja duńska załatwia to na ich rachunek, w „internacjonalistycznych” ramach II Międzynarodówki. Bazylejska deklaracja międzynarodowej solidarności robotniczej przeciwko użyciu robotników jako mięsa armatniego — to świstek papieru. Międzynarodowy handel robotnikami dla zaspokojenia potrzeb wojennych — to fakt.

„Bonzowie” socjaldemokracji duńskiej otrzymują polecenia z Berlina... „Zawsze mają gotowe wskazania od niemieckiej Partii”. Na te zależności socjaldemokracji duńskiej od niemieckiej zwracał już uwagę Lenin w 1916 roku, kiedy pisał: „duńska socjaldemokratyczna partia... wszelkimi sposobami popierała i popiera prawe skrzydło oportunistów z niemieckiej socjal-demokracji”.

Pellemu z oportunistami niemieckimi nie trudno się dogadać. Mówi tym samym, co oni językiem oportunizmu i zdrady. Bojowo nastrojony niedyś Pelle, odkał zadowolił swoje egoistyczne ambicje, osiągnął stanowisko polityczne i osobisty dobrobyt — zmienił się nie do poznania. Morten przypisywał to „zwyktemu zmęczeniu i spoczęciu na laurach. Okazało się jednak, że przyczyną tego stanu są poważniejsze. Pelle nie robił wrażenia zmęczonego lecz raczej jakby świadomo wysłał się w tym kierunku, by zniszczyć to, co sam dawniej zbudował”. Jego dewiza stała się „my i tak żyjemy jako tako, a przyszłości niech organizują ci, co przyjdą po nas. Marks był dobry w swoim czasie, lecz czy podobna żyć według wskazań starych proroków?”.

Nieprowadzenie kooperatywy wytwórczych, które niegdyś Pelle sam zakładał, posłużyło mu za pretekst do stwierdzenia, że robotnicy jeszcze nie dorosli do socjalizmu, więc trzeba dać temu wszystkiemu pokój. Pelle nie chce natomiast zrozumieć, że to nie spóźniełość rodzi nowy ustrój, lecz przeciwnie dopiero nowy ustrój, po obaleniu kapitalizmu, stwarza realne podstawy dla rozwoju spółdzielczości. Nowy ustrój zaś nie tworzy się na drodze wątpliwych reform lecz na drodze rewolucyjnej.

„Trudno wyobrazić sobie — że taki ustrój jak kapitalizm można obalić za pomocą kooperatywy szewskich... Doszedłem do przekonania — mówi Morten do Pellego, — że nie można ustrecze dziaćki od chwałostów, jeśli naokoło pola są zachwaszczone. Przecież wiatr rozniesie nasiona... Szczerze mówiąc, czy dużo było zasad socjalizmu w naszym przedsiębiorstwie?” Surowce i maszyny, to jest wszystko czego potrzebowałeś znajduwały się w prywatnych rękach. Kredyt i zbyt również”.

Pretekstem do zaniechania taktyki rewolucyjnej stała się również wojna i w związku z nią oportunistyczne pojęty patriotyzm. „Ojczyzna przyszłości? Cóż jej i chwała! co się stanie z dzisiejszą Ojczyzną jeśli robotnicy zastrają w ogniu walk?”.

Udział sędziwego autora „Ditty” w Kongresie Pokoju we Wrocławiu — osiemdziesiąta rocznica jego urodzin obchodzona uroczystie we wszystkich krajach demokratycznych — zbliżył już czytelnika polskiego do osoby zasłużonego pisarza proletariackiego.

Dziś w obliczu nadchodzącej rocznicy zjednoczenia partii robotniczych w Polsce, które dokonało się pod hasłem bezkompromisowej walki z wszystkimi pozostałościami oportunizmu i reformizmu w naszym ruchu robotniczym — kiedy III Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w pierwszym punkcie porządku dziennego postawiło sprawę wzmocnienia czujności rewolucyjnej partii, zagadnienia nurtujące twórczość Martina Andersena Nexö nabierają dla nas szczególnej wymowy — stają się literacką ilustracją niebezpieczeństw zagrażających klasie robotniczej ze strony elementów oportunistycznych i reformistycznych.

Tak mówi Pelle, tak mówi inny stary działacz robotniczy „były kowal, który w młodości twardą ręką organizował kowali i maszynistów w większej części Danii, a teraz piastował urząd burmistrza i był samowładnym królikiem w mieście”. Takie postawy wywołała II Międzynarodówka niezdolna wbrew uchwałom do przeciwstawienia się wojnie jednocześnie we wszystkich krajach.

Tymczasem występowały na jaw różne dolegliwości okresu wojny. Położenie klasy robotniczej pogorszyło się. Stało się zrozumiałe, że nie kto inny, a właśnie robotnicy ponoszą koszty imperialistycznej wojny.

„Bezrobocie dawniej nierozłącznie związane z mrozami stało się chroniczne. Wszystko podrożało, podażki powiększyły się... Większość rodzin żyła biednie niż poprzednio, a drobni rolnicy skarżyli się jeszcze bardziej. Obniżenie poziomu życia w szerokich masach obserwowało się wszędzie...”.

Burżuazja nie cierpiała z powodu zagranicznych trwóg i depresji; z większym zapalem niż dawniej bawiła się w restauracjach i nocnych kawiarniach. A robotnicy siedzieli w domu smutni i apatyczni. O wiecach i demonstracjach nie było mowy”.

III

Wszystko wskazywało, na to, że burżuazja przeszła do ataku. Morten „działał na ludzi jak czerwona plachta na byka. Gdziekolwiek się zjawił, zawsze zaczynał mówić o polityce, a rozmowa sprowadzała się zawsze do jednego, do tyranii uprawianej przez robotników. To było tym bardziej obraźliwe, że robotnicy nie zachowywali się agresywnie. Żyli z tego, co zdobyli w okresie walki, pograżali się w beztroską drzemkę... Przy całej banalności i jednostronności tych napaści można było wykryć chęć zahamowania ruchu robotniczego lub w ogóle cofnięcia go do punktu wyjścia. Nawet wdechane powietrze miało kwaskowaty posmak reakcji. Zjawiały się podstępne hasła tego rodzaju, że społeczeństwo nie zyskuje na ciągłej walce między pracownikami i chłebodawcami”.

Atak na klasę robotniczą prowadził burżuazja rozmaitymi środkami i na różnych frontach.

Pierwszym sukcesem reakcji było rozwarstwienie partii robotniczej. Burżuazji udało się wbić klin między przywódców a masy. Udało się jej wyhodować rodzaj arystokracji robotniczej. Morten obserwuje to w praktyce już nie tylko na niewspół-

mierności stopy życiowej lecz nawet na formach obyczajowych, jakie się utarły. Wytworzył się nieprzekraczalny dystans między „bonzami” a dółami robotniczymi. „Dawna prostota w stosunkach ustępowała miejsca szarunkowi, robotnicy nie śmieli już „tykać” swoich przywódców lub podawać im rękę, lecz zdejmowali czapki i nisko się klaniali”.

Co więcej kapitalizmowi udało się „ujęździć” i oblaskawić przywódców socjaldemokracji, wykorzystać ich egoistyczne ambicje, włączyć ich do systemu parlamentarnego, zapewnić miejsce w rządzie. Z chwilą gdy Pelle polubił „cylinder, frak i biały krawat” przestał się czuć robotnikiem. Wraz z cylindrem przejął styl życia i poglądy mieszczańskie. Partia stała się ziołem dla przywódców. Dopuszczeni przez burżuazję do współudziału w zyskach wyciskanych z klasy pracującej nie mieli żadnego interesu w podejmowaniu rewolucyjnej walki. Robili wszystko, by ten stan utrzymać. Dlatego petryfikowano doły partyjne. Odwracając ich uwagę od zagadnień ruchu robotniczego, każąc im złożyć wszelką troskę o przyszłość na barki przywódców. Wobec opornych stosowano terror gospodarczy. Dlatego Bohn, robotnik, któremu polityka Związku „staneła kością w gardle”, otrzymał „wilezy bilet” i został pozbawiony możliwości otrzymania jakiegokolwiek pracy. Związek Młodzieży, gdzie Morten miał odczyt, uzależniony jest od partii, która go subsydiuje, do tego stopnia, że prelegenci muszą być zatwierdzani przez partię, by nie dostał się na mównicę ktoś „czerwony”.

Dyktowaną przez socjaldemokrację oportunizm opawał nawet prasę robotniczą. Redaktor „Robotnika” Oskarsen upomina Mortena: „Ciągłe zapomnienie, że walka klas jest zlikwidowana. Nie możemy napadać na tych, z których zmuszeni jesteśmy żyć. Na tych, co umieszczają duże ogłoszenia”. A więc nie oportunizm wiedzie bezpośrednio do kleszenia kapitalistycznego. Dochodzi do tego, że radykalne artykuły Mortena zamieszczają, o ironio, wyłącznie gazety burżuazyjne, dla cennych celów własnej polityki. Inwazja burżuazji na klasę robotniczą postępowała i od strony drobnomieszczaństwa przez narzucanie robotnikom ambicji drobnomieszczańskich. Zaznaczyło się wyraźnie niebezpieczeństwo, jakie grozi klasie robotniczej dopóki żyje obok drobnomieszczaństwa: usłownianie przeniknięcia do drobnomieszczaństwa i



(fot. APD).

uznawanie tej dezercji z szeregów robotniczych za awans. Oportunizm socjaldemokratyczny odrzucając myśl o rewolucji i głosząc zakłamane tezy o pokojowym wrastaniu kapitalizmu w socjalizm stwarza klimat dla takich zjawisk. Umacnia w masach przekonanie o możliwości odskoku do klas wyszukujących poprzez drobnomieszczaństwo.

W wyniku okazuje się, że to nie kapitalizm wrasta w socjalizm, lecz raczej na cłwrot, socjaldemokracja wrasta beztrósko w kapitalizm.

Co prawda możliwości takiego wrastania pozostają zazwyczaj tylko w sferze mentalności i obyczajów. Próby materialnego dorównania kapitalistom są z reguły chybione. Burżuazja mocno ścisła kiesę. Nexö pokazuje kilka takich niefortunnych prób, przesuwając przed nami typy ofiar spekulacji kapitalistycznej. Widzimy zrujnowanego staruszkę, który ziałkoł się niegdyś na działki dzielnic willewój w Baekkegaarden i stracił wszystkie oszczędności uciulane ciężką pracą rąk własnych. Wyszł na tym interesie podobnie jak chłop Niels Hansen, który przystąpił do spółki z oszukańczą firmą i stracił ziemię, gdyż „spółka okazała się „spółką pięści z podbitym okiem”; kapitalizm niszczy tych, którzy chcieli się przysiąść do jego wozu.

Niezależnie od tych wszystkich sposobów, którymi stara się spętać ruch robotniczy, kapitalizm stosuje nadal stare środki bezpośredniego wysisku klasowego. Robotnik, który kupuje domek na raty, z chwilą wybuchu bezrobocia i niemożności uiszczania rat traci i domek i wkłady jak Olsen. — Czy myślisz — mówi do Mortena, — że ktoś przybiegł i pomógł, przecież niewielka pomoc pozwoliłaby wykaraskać się. Czyż nie? Mamy Zarząd Miejski, organizację partyjną i Związek Młodzieży, ale, gdy trzeba pomóc, nie ma nikogo...”.

Szwaczka, która kupuje maszynę, nie wie, że przedsiębiorca, u którego pracuje, jest w zmoście z firmą maszyn do szycia. Skoro przedsiębiorca wymówi jej pracę, nie będzie mogła płacić zaległych rat i firma maszyn do szycia odbierze jej maszynę a raty wpłacone przepadną. Pokazuje tu Nexö już nie tylko „normalny” wysisk w pracy lecz wręcz kapitali-

styczny rozboj — a pamiętajmy, że wszystko dzieje się w kraju, który u nas w Polsce uchodził za wzór, w kraju o przysłówowej uczciwości.

Tych, których kapitalizm jeszcze nie zniszczył, potrafił zatruć moralnie jak rybaków i chłopów w Baekkegaarden. Nexö pokazuje jak cała ludność tych letniskowych okolic zaraziła się „oddechem stolicy”. Chłopi nie uprawiają ziemi lecz żyją ze spekulacji działkami letniskowymi i wynajmowaniem willi. Rybacy przestali już dawno wyruszać na połowy lecz utrzymują się z oszukańczego handlu sprowadzanymi skądś rybami. Jedni i drudzy wysilają się na możliwe gruntowne wyzyskanie letnika. Przemieniają się w pasożytów społecznych.

IV

„Czerwony Morten” jest powieścią autobiograficzną. Morten to stylizowany Nexö. Lecz myliby się, gdyby chciał doszukiwać się w powieści starych schematów pisarzy idealistycznych: jednostka przeciw społeczeństwu. Mimo pozorów głównym bohaterem książki jest nie Morten, ale właśnie społeczeństwo. Pozycją Mortena, to pozycją punktu obserwacyjnego. Morten jest tu właściwie narratorem, uosobieniem stendhałowskiego zwierciadła, przechadzającego się po gościńcu. Jego osobiste sprawy są ważne dla autora o tyle tylko, o ile naświetlają czy odbijają jakieś ogólne zagadnienie społeczne; o ile pozwalają na zapoznanie się z pewnymi typowymi zjawiskami.

Metoda ta ma i swoje ujemne strony. Za takie należy uważać marginesowość akcji, która raz po raz ustępuje miejsca rozmyśleniom i refleksjom Mortena na tematy ogólne, bądź nawet partiom opisywom i komentarzowi samego Nexö. Nieraz odnosimy wrażenie, że akcja jest pretekstem dla komentarza, „Czerwony Morten” cierpi na przerosty publicystyki.

Akcji brak stałego kośca. Autor chciał dać obraz położenia klasy robotniczej, lecz nie zawsze potrafił dokonać tego poprzez samą akcję, tą metodą najlepszą, bo niezauważalną; wypływającą z samego układu fabuły. Stąd widać u Nexö to, nie zawsze zrzeczne, wypychanie na plan pierwszy pewnych scen nie wyznaczanych przez akcję i zbyt luźno z nią związanych.

W powieści proletariatu występuje tylko tam, gdzie Nexö, pisarz i działacz może go najłatwiej zobaczyć, a więc na zebraniach i w domu. Brak natomiast robotników przy pracy.

Nie postawił Nexö ani jednego typu robotniczego, choćby tak żywego jak Andersen. Bo Andersen to już robotnik przedziwny w kapitalistycznym świecie, który wypadł krańcowy, który Nexö odnotowuje w rubryce „wyjatk”. Natomiast zarówno Olsen, jak Bohn, jak Svend Pocięcha, mimo, że reprezentują typy klasowe czyste i rewolucyjne, zostali potraktowani marginesowo.

Jest to więc powieść „o nas bez nas”. Życie widziane z zewnątrz od strony obserwatora Mortena, a więc jakby podane czytelnikowi z drugiej ręki. Z tym, że obserwator czerpie swe wiadomości zbyt często z rozmów a za mało z wkładu faktów.

Morten mimo swej pracy literackiej i dziennikarskiej, mimo odczytów, które wygłasza, w ówczesnych warunkach jest wyizolowany i samotny. „Miedzy inteligentami był przelotnym ptakiem, przywódcy ruchu robotniczego krzywo na niego patrzyli, a ci z lewa... Tam rozpocierała się „krajina niczyja” pełna wielkich możliwości lecz nie zamieszka, nieuprawiona, bez drogi!

Tam była przyszłość lecz póję tam, równość się zupełnej izolacji. Poprawdział tam masy i razem z nimi stworzyć nowy świat... Nie, do tego nie był zdolny”.

Jest więc u Mortena ten niedowład czynu, ten brak drogowskarów. Nie wygłasza w masach robotniczych opozycję przeciwko polityce socjaldemokracji, są jednostkowe odruchy buntu, jest grupa młodych rewolucyjnych działaczy skupionych wokół Svenda-Pocięcha, lecz brak im konkretnych wskazań i wzorów. Nic dziwnego. Ruch robotniczy Danii czerpał dotąd wskazania i wzory z Niemiec.

Dopiero podróz Mortena do Szwecji zorientowała go, że gdzie indziej teraz trzeba szukać „rewolucyjnego natchnienia”, że ciężar ruchu rewolucyjnego przenosił się na wschód, gdzie działał Lenin.

— „Wierz nam, mówią do Mortena towarzysze szwedzcy, że na rosyjskich towarzyszach można polegać. To są prawdziwi marksiści...”

Towarzysze szwedzcy opowiedzieli mu o Zimmerwaldzie, o tym, jak konferencja stała się burliwym starciem między młodymi uczestnikami i przywódcami reformizmu. — Młodym rewolucjonistom przyszedł z pomocą „pewien Rosjanin” i rozprawił się z „bonzami”.

„Po pobycie w Szwecji Morten zaczął czuć się lepiej. Pocucie samotności nie tak go przygniało, już nie zdawało mu się, że żyje w „Krajinie niczyjej”. Zdarzenia nabrały sensu, widział teraz jasno przed sobą cel: odrodzenie walki o prawdziwy socjalizm”.

Rewolucja Październikowa stała się „drogowskazem otwierającym wejście do „Krajiny Niczyjej”.

Edmund Niziurski

*) Martin Andersen Nexö „Czerwony Morten”. Cz. I „Krajina Niczyja”. Wyd. „Książka i Wiedza” Warszawa 1949.

MARIAN CZERWIŃSKI

TOPOGRAFIA „DRUGIEJ AMERYKI”*)

Pozner wyróżnia się wśród współczesnych pisarzy francuskich jako specjalista od reportażu literackiego.

Obok „Żałosnego odwrotu”, który jest zresztą bardziej powieścią, otrzymujemy w polskim przekładzie „Stany Niezjednoczone”, reportaż, który wchłaniał w siebie opowiadanie jako rodzaj. Nie tylko zresztą opowiadanie. Także wiele innych pierwotniejszych, bardziej surowych form literackich jak: prosta notatka, oderwany dialog, wywiad dziennikarski. Z całym tym materiałem postępuje Pozner dość swobodnie. Nie łączy go narracja w jeden watek, konsekwentnie rozwijający się w czasie. Postępuje w myśl pewnej manieri, którą można by nazwać „modernistyczną”. Pozner pozostawia domyślności czytelnika kojarzenie wielu epizodów, wielu opisów, dialogów, zestawiających metodą analogii. Jego reportaż z tak różnych elementów zbudowany składa się z mnóstwa rwących się wątków, ich harmonia, ich kontrpunkt dopiero posiada swoiste znaczenie, pełną wymowę. Metoda ta w tym wypadku wydaje się skuteczną, książka Poznera ma miejscami przekonującą siłę i wymowę.

„Stany Niezjednoczone” to przede wszystkim książka o przeraźliwym osamotnieniu milionów Amerykanów w systemie wysoce rozwiniętej techniki kapitalistycznej, nieporządkowanej żadnemu ideałowi społecznemu. Książka Poznera jest próbą możliwie pełnego obrazu owej sygnalizowanej już przez pisarzy „drugiej Ameryki”, której obywatela naprzedk obowiązuje frazesom o „ideale amerykańskiego życia”, naprzedk optymistycznej masce, utrwalanej przez film, prasę, radio,

książki, żyją lękiem, o istnienie, o jutro własne i dzieci, o to, co będzie, gdy nieznane siły gospodarcze spowodują zmniejszenie produkcji, krach giełdowy. Ten lęk zaostraża egoizm już nie tylko klas, ale najcięższych warstw, grup, klik, mafii, przeciwstawia wszystkich — wszystkim. Ci, którzy mogliby przeciwstawić się nieludzkim prawdom kapitalistycznego matecznika, których baza klasowa powinna by uzbroić w środki walki, osłabieni są przez potężną, miazdzącą psychicznie maszynę propagandy wiary kapitalistycznej.

Pozner zatrzymuje się nad wszystkimi rysami optymistycznej fasady amerykańskiego życia, nad wszystkimi tymi miejscami, z których wygląda pustka, brutalność.

Mimo suchości formy, mimo ograniczenia się do obiektywnego opisu, „Stany Niezjednoczone” mają wielką siłę wyrazu.

Dla Poznera „krajobraz” drugiej Ameryki nie kończy się na sprawie murzynskiej, jakkolwiek byłaby ona ważna i jakkolwiek wiele miejsc poświęca jej autor. „Krajobraz” ten wypełnia również ów tragiczny opar niespełnionych ludzkich tęsknot, niespełnionych potrzeb, na który składa się rozpacz bezrobotnych, bezradność trosk robotniczych, samotność tych nawet, którzy będąc dobrze sytuowanymi, zmuszeni są do przekalkulowania swiętego z miłością, ideologią i śmiercią włącznie na cyfry dochodu.

Tu będzie ten człowiek, który szuka w tłumie obcych ludzi kośca, który zechciał z bezinteresownej sympatii wysłuchać jego trosk, tu będzie także i ten, który błażenską reklamą przyciąga klientów do swego przedsiębiorstwa pogrzebowego. Samotność i poniżenie uczuć.

Reportaż Poznera nie jest analiza polityczną ani szkicem teoretycznym, jest jednak obrazem nakreślonym przez człowieka świadomego mechanizmu i elementów małowinnej sytuacji, jest dziełem jasnej świadomości politycznej.

Książka powstała przeszło dziesięć lat temu. W przedmowie napisanej do powojennej jej wznowienia autor, który przeżył w Stanach Zjednoczonych kilka lat wojennych, podkreśla wymowny fakt, że przez lata, które upłynęły od jej napisania, sytuacja zasadniczo nie zmieniła się wcale, zaostrożyl się tylko polityczny nacisk maszyn wielkokapitalistycznej, wzmagają się presja policji, spotężniała kampania propagandy „amerykańskiego stylu życia”.

Autor widzi stronniczość aparatu sprawiedliwości, brutalność służby bezpieczeństwa, brak kontroli społecznej i anarchię działania monopolu, otepiający wpływ tendencji prasy, radia, książek, wszystkie ognia łańcucha, którym opasani są obywatele „drugiej Ameryki”, anonimowa masa potrzebna do funkcjonowania systemu, ci o których w Ameryce przyjeżdżało się pisać: „40000 walczą ze śniegiem” (cytat), opuszczając słowo „ludzie”. System ten, niezdolny mobilizować sił duchowych człowieka, znajduje swój ratunek w maksymalnie pojętym i skrupulatnie przeprowadzonym przekreślanu osobowości, w dławieniu wszystkiego, co przeciwstawia się brutalnej władzy monopolu.

M. CZERWIŃSKI

*) Vladimir Pozner: Stany Niezjednoczone, P. I. W.

JÓZEF BIENIEK

WYSOKA ZMIENIA SIĘ

Łańcucki zamek siedzi na kraju miasta jak opasy basza w haremie. Miasto anemiczne, jak wszystko, co w wielkim cieniu wyrasta, dopiero po wojnie, wyzwoliwszy się z macek polipa — Potockich, zaczyna przeżyć. Podnosi głowę, poprzez wieki całe nawiąta do kornej pozycji w o-bliczu pana, dźwiga się z roli dworskiej kaski — do ludzkiego bytowania. Minął dla niego czas zapatrzenia się w jasnie-panską godność osób, spraw i rzeczy królów na Łańcucie—Potockich.

Dzisiaj specyficznego wyrazu na tle minionej historii nadaje ulicom małego miasta, Łańcuta, silnie rozbudowana spółdzielczość Samopomocy Chłopskiej. Na każdej z ulic, co parę kroków natkniesz się na „bilet wizytowy” oznajmujący jakiś sklep, magazyn, gospodę czy biuro tej instytucji — oto gospodarskie dionie nowego gązdy na Łańcucie — Władzy Ludowej.

Wokoło zamku rozciąga się lipowy park. Potężne drzewa liczą po kilka wieków, akurat tyle co historia magnackiego rodu Potockich i magnackiej siedziby — zamku. Październikowy ranek szamocze się w rdzawych gałęziach lip. Leżą liście jak iskry z pływających głow, by wczepiać się w zburzone czupryny spacerujących po parku dziewcząt i chłopców.

Jest ich dużo — może sto, a może więcej. Uczennice i uczniowie Liceum Rolniczo — Spółdzielczego w Wysokiej koło Łańcuta. Prowadzi ich wąsaty chłop, dyrektor liceum — Piotr Świątek. Ten sam, który, stojąc lata całe na czele tutejszego ruchu ludowo — wiciowego, zakładał panu na Łańcucie wygodny żywot, szarpał magnackie dochody strajkami, kradł spokój dostojnym snom koszmarnym wziętym kresu władzy.

Wiele wiarł przeganiając żółte tumany liści. Przyszedł mu na myśl inny wiatr, który pięć lat temu wywiał z dwustu komnat potężnego zamku kilkorozuprzywilejowanych, otwierając na oścież hrabskie podwoje przed całym narodem.

Dzisiaj w głównej części zamku mieści się muzeum ludoznawcze, a w budynkach dalszych szpital oraz hala sportowa PW i WF.

*

W czworakach hrabskiego folwarku w Wysokiej, pięćdziesiąt temu bez mała lat przyszedł na świat Piotr Świątek. Gdy podrośł i ciekawymi oczami dostrzegł jak żyje jego pan, a jak jego ojciec — zbudował się i uciek. Myślał, że zło tych czasów zaczyna się i kończy na wysokim folwarku. Był tu i tam, próbował z wielu pieców chleba, często nie miał go wcale, widział wiele, a najwięcej krzywdy, że jednak tęsknota ciągnęła ku swoim — wrócił. Buntował się tak jeszcze i uciekał nieraz. Ale zawsze wracał, wciąż bogatszy w doświadczenia, wciąż mocniejszy w określonym kierunku świadomości politycznej i społecznej, coraz bardziej zahartowany i zawzięty.

Pracę społeczno-polityczną rozpoczął wczesnie, od Drużyny Bartoszewych, ale na dobre usadowił się dopiero w „Wiciach”, zostając na długie lata jednym z najbardziej radykalnych i aktywnych działaczy chłopskich rzeszowskiego okręgu. On to z zespołem wiernych towarzyszy przygotował grunt pod Uniwersytet Ludowy w Gaci i zorganizował jego podstawy, a kiedy Solarza za buntownicze idee wywalił z Szyg władze sanacyjne, Świątek zaprosił go w te strony i oddał mu kierownictwo Gackiej Górki.

Sławne bunt chłopie w rzeszowszczyźnie, a więc „okupowanie” przez dziesięciotysięczną armię chłopską w dniu 23 czerwca 1933 r. Przeworska, a następnie Łańcuta, gdzie żądano ustąpienia sanacyjnego rządu — później ostre strajki w latach 1936 — 1937, kiedy to „nieszczęśliwy” hrabina na łąckim zamku nawet kwiatów nie miał kto przynieść z ogrodu — to właśnie dzieło zespołu, w którym Świątek i Foltz zajmowali naczelną miejscę.

Świątek najbliższym współpracownikiem Solarza, pilny słuchacz często gęsto wykładających na Gackiej Górze — oczywiście potajemnie — Wasilewskiego i Grosfelda, kształtował swój światopogląd na ideach walki o Polskę Ludową.

W lutym 1946 r. zabudowania „rodzinnego” folwarku w Wysokiej, zdemolowane w niesamowity sposób przejął Piotr Świątek z grupą młodzieży, z którą w latach okupacyjnych rozpoczął tajne nauczanie, aby je teraz oficjalnie dokończyć. Tak powstało głośne w rzeszowszczyźnie Liceum Rolniczo — Spółdzielcze w Wysokiej.

Powstało dosłownie z niczego, bo przystąpiono do pracy jedynie z przysłowiowym chłopskim uporem. Dziś, po trzech latach niezmordowanych zabiegów dyrektora, w oparciu o gronadę, poprzez ofiarny trud zespołu pedagogicznego, rozentuzjasmowanej reszcy uczniowskiej i wsi całej — dokonano turczy, wprowadzających w podziw najawższych nawet malkontentów. Napót rozwalone stajnie, chlewy, spichrze i czworaki zamieniły się w piękne, jasne i wygodne sale wykładowe, mieszkania dla nauczycieli, internat itp. A wszystko to, jak stwierdzały notatki wizytatorów z Min. Oświaty oraz Rolnictwa i Reform Rolnych, bez poważniejszych subwencji, sposobem gospodarczym, sprytem i przemysłem własnym organizatora i dyrektora — Piotra Świątka, a wszystko dlatego,

że w dzisiejszej rzeczywistości znalazł dla siebie odpowiedni klimat. Gdzie dawniej były czworaczne budy, gdzie w nędzy i poniewierce żył pół-chłowiek fornał, w stajniach, chlewach i spichrach — rozległym kompleksie krzywdy i wyzysku, dziś sto siedemdziesiąt dzieci chłopskich uczy się żyć życiem ludzi wolnych i szczęśliwych.

W kronice szkolnej natrafiam na notatkę. Brzmi ona tak: „Dnia 24.I. 1949 r. dyrektor Piotr Świątek otrzymał przez pocztę wyrok śmierci, za to, że chce podnieść wieś na wyższy poziom. Takie same wyroki otrzymał wszyscy uczestnicy konferencji w dniu 7.I. b.r.”

Na tej samej karcie znajduję wyjaśnienie, co to była za konferencja: „W dniu dzisiejszym odbyła się konferencja zwołana przez dyrektora Świątka i pod jego przewodnictwem w sprawie budowy drogi przez wieś, zelektryfikowania gromady i założenia spółdzielni produkcyjnej”.

Tak, teraz rozumiem. To wróg klasowy, wyczerpawszy już wszelkie argumenty, sięgnął po ten ostatni. Trzeba było tylko zlekąć i ustąpić. Ale tego właśnie Piotr Świątek nie potrafił. I to jest jego siła.

Dwa miesiące temu rozpisywano się prasa ludowa na temat Wysokiej i jej osiągnięć na polu przeobrażeń życia gromadzkiego. Mając okazję dzięki zamówieniom „Wsi” pisać o tym, zawiadziłem o Wysoką pragnąc skonfrontować „gazetowe” zachwyty ze stanem faktycznym. Zgadza się. A oto szczegóły.

Od wspomnianej konferencji, której pierwszym wynikiem był wściekły gniew reakcji, upłynęło już parę miesięcy. Zdawało się, że myśli rzucone wtedy przez Świątka zginą, stłamszone groźbą krzyczących się w mroku sił. Ale uparty jak zwykle dyrektor wciąż atakował świadomością światłej części wsi, namawiał, przekonywał. Aż zwyciężył. Było to na jednym z zebrań, zwołanych celem omówienia uczczenia piątej rocznicy Dekretu o Reformie Rolnej. Wtedy to Świątek ponowił swój styczniowy wniosek, twierdząc, że taką rocznicę wypada uczcić tylko czymś takim, co by dla wsi miało znaczenie nie przemijające, a więc najlepiej budową jak potrzebnej gromadzie drogi i elektryfikacją wsi. Tym razem projekt chwycił bez większych zastrzeżeń i dnia 22 sierpnia wieś jak jeden mąż stanęła do pracy.

Nie była sama. Świątek mający

jako prezes woj. Zarządu PSL duże wpływy w szerokiej okolicy zmobilizował do prac w Wysokiej dużą pomoc sąsiednich miejscowości. Przyszli więc chłopcy z Albogowej, Soniny, Markowej, Kraczkowej i Krzemienicy, przyszli robotnicy z zakładów przemysłowych w Łańcucie, Rakszawie, Leżajsku i Rzeszowie, przybyli z Rzeszowa partie polityczne, ZSCh, SP, ZMP, a nawet wojsko z orkiestrą. Dziesiątki aut, setki furmanek, tysiące ludzi wzięło udział w organizacji tego nowoczesnego „cudu” chłopskiego w Wysokiej.

W konsekwencji połączonych sił miasta i wsi, kosztem dziesięciu tysięcy dniówek, w ciągu 3 tygodni dokonano iscie gigantycznego wysiłku, elektryfikując gromadę, budując 3 km. nowej, bitej drogi, 8 km. betonowego chodnika, piękny stadion sportowy z boiskiem piłki nożnej, dwoma boiskami siatkówki, dwoma — koszykówki i basenem pływackim.

Jeśli zaś chodzi o najdroższy punkt tamtej konferencji — spółdzielnię produkcyjną, to właśnie teraz z okazji Zjednoczenia Stronnictw Ludowych, Wysoka jako czyn kongresowy zgłasza przystąpienie do kolektywnych form gospodarki rolnej. Na razie wpisało się 40 chłopów, zgłaszając 150 ha ziemi ornej. Czterdziestu na czterystu ogółem to niby niedużo, a przecież bardzo dużo — bo to pierwszy.

Kto wie, czy do podobnego kroku nie skłoniła ich i ta okoliczność, że doskonale prowadzone gospodarstwo rolne przy liceum daje tego roku 32 kwintale z hektara. Chłopskie zaś najwyżej po 18.

Szereg gromad zarażonych wysokim „cudem”, aby nie pozostać za Wysoką w tyle, organizuje na gwałt środki do podobnych akcji jak te w Wysokiej. W czasie wspomnianych wyżej prac do Wysokiej przybyło dwóch zagranicznych delegatów na Kongres Zjednoczeniowy Uczestników Walk o wolność i demokrację w Warszawie — Rumun i Holender. Była właśnie niedziela i parę setek młodzieży harowało zaciekle, aby w wyznaczonym terminie prace mogły być zakończone. Zdumienie gości nie miało granic. Rumun dziwił się na milczącą, Holender — wydziwiał i mruzczył coś bezustannie. Nie mógł on żadną miarą pojąć szczególnej jednej rzeczy — że ten cały zapal i jego osiągnięcia, to tak wszystko z dobrej woli, ochotnie i bez zapłaty. Tego właśnie „bez zapłaty” pan van Haagen pojąć nie mógł.

LUDWIK ŁAKOMY

1. WZOROWA SPÓŁDZIELNIA

Gminna spółdzielnia „Łomżyca” z siedzibą w Kupiskach przejdzie niewątpliwie do historii naszego ruchu spółdzielczego jako przykład wzorowej placówki „Samopomocy Chłopskiej”. Na dziejach tej spółdzielni sprawdzają się bowiem słowa Lenina, że „wpływać na miliony drobnych gospodarstw chłopskich można tylko stopniowo, ogólnie, za pomocą udanego przykładu praktycznego, gdyż chłop, to ludzie nadto praktyczni, zbyt silnie związani z dawną gospodarką rolną, aby zdecydować się mogli na jakiegokolwiek poważną zmianę jedynie na podstawie rad i wskazówek książkowych”.

Po kilkoniowym pobycie na terenie powiatu łomżyńskiego (tam, gdzie do niedawna bandy faszystowskie NSZ terrorowały ludność, ze szczególną zaciętością zwalczającą spółdzielczość), po zapoznaniu się z działalnością Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, mogłem stwierdzić, że w zakresie skupu produktów rolniczych i hodowlanych, zaopatrzenia we wszelkie towary przemysłowe, spożywcze i inwestycyjne oraz pomocy maszynowej dla małych i średniorolnych gospodarstw — gminna spółdzielnia „Łomżyca” z siedzibą w Kupiskach posiada tak wielkie osiągnięcia, że warto, aby się o nich dowiedzieli maszy ludowe całej Polski.

Znalazł się w Kupiskach udam — jest najsamowitszym w towarzystwie rewidenta kol. Narolewskiego, do budynku Ośrodka Maszynowego.

2. OŚRODEK MASZYNOWY

Ob. Chłudzinski Henryk, kierownik Ośrodka, zna traktor, jak swoje dziecko palców. Nieco ospowaty, o twarzy zacętej, energicznej, tłumaczy mi, gdzie jest rura wydechowa, srożeń tłokowy z tłokiem, świeca, górny zbiornik wody chłodzącej, pompa wodna, zespół wentylatora i chłodnica z zaworem. Jakby przed egzaminem na kursie traktorzystów demonstruje mi działanie korby rozruchowej wskazując zarazem popychacz zaworu oraz koła zębate, napędzające wałek rozruchowy.

— Widzicie — mówi kręcąc się obok traktora jak fryga — tu jest właśnie ów wałek rozruchowy, a tam os przednia, korbowód, ścięgi skretu, zbiorniki smaru, koło zamachowe, zespół sprzęgła, wałek pedny, napęd kołami stożkowymi, dyferencjał, reductor obrotów i cigło...

W głowie mi huzy od nazw: koła zębate stożkowe, koło sterowe, ślimak i ślimacznica kierownicy oraz filtr powietrza — całe szczęście, że przeszliśmy do pluga traktorowego.

Plug traktorowy dobrze jest znany mieszkańcom gminy Kupiski. Nie tylko młodzi gospodarze, ale nawet

Ł O M Ż Y C A

ów chłop o ogromnej, siwiejącej głowie, która opada mu na piersi, potrafi wyliczyć części tego pluga, umie wskazać zaczep nastawny, łożyska koła i krój talerzowy oraz nazwać stożkowe łożyska nastawne, skrobaczki stalowe, odkładnice, regulator głębokości tylnego koła i jego dźwignie automatyczną, rozwidloną osadę do krojów, słupek kroju, ramę pluga, szybko działającą dźwignię oraz śrubę nastawczą.

— Sam jeden zaoberałem w bieżącym sezonie 48 ha! — chlubi się ob. Chłudzinski. — Nadto zasialiśmy dziewięć siewników 183,5 ha, a z braku czasu siewnik nawozów sztucznych zdołał obsiać zaledwie 9 ha. Tylko co do tych „Ford-Fergussonów” to powiem, że dla nas byłoby lepsze „Zetory”. To są maszy!

— Pysnicie się — mówię — że zaoberaście 48 ha. A wiecie, że w Związku Radzieckim przeciętna traktorka rolna na Ukrainie osiąga jak nie normę 900 ha?

— Ba, ale ona nie innego nie robi, tylko obsługuje traktor! Ja natomiast przeć orki dogładałem obsługi naszych 2 młoczek parowych, na których omliliśmy 183 tony zboża, dwoma żniwiarzami zżeliliśmy 84 ha pracując cztery dni, a jedną kosiarką skośnię 15 ha łąki...

— Jakże jeszcze narzędzia i maszy posiadacie?

— A wiecie: trzy motory spalinowe do młocki, trier do czyszczenia zboża, żmijka do strąkowania, plug łąkowy i skaryfikator do uprawy łąk, wał talerzowy, młyn do czyszczenia zboża, czyszczalnia elektryczną — i to chyba byłoby już wszystko.

— Zapomnieliście, Heńku, o naszych trzech maszynach do kopania — dodaje smukły o inteligentnej twarzy blondyn, który przed chwilą wszedł do Ośrodka.

— Prawda! — Chłudzinski postkrobał się po głowie. Przekopaliśmy nimi 21 i pół ha... Tylko, że teraz z okazji „Czynu Przekongresowego” to człowiek nie może już nawet wszystkiego ogarnąć. To wy, kolego kierowniku, powiedzcie, o czym ja zapominałem. Wiadomo: macie łeb nie od parady!

3. „TAKI NASZ CHŁOP-SPECJALISTA”

Ob. Grabowski Aleksander sygnie cyframi jak z rekawa. Razem z księgowym ob. Ramotowskim — to mój spółdzielni. Chociaż mówi się, że autorytet istnieje tylko dla głupców, to mimo wszystko i mądry ludzie także uznają autorytet, jeśli stwierdzą, że ktoś wart uznania. A ob. Grabowski, chociaż na pozór cichy, skromny i nieśmiały, naprawdę cieszy się autorytetem, wypracowanym przezeń działalnością na terenie gminnej spółdzielni.

— On jest taki, jak te kropki kapuśniaczku — określił Grabowskiego

— Bei uns ganz anders — szeptał po niemiecku, kręcąc z niedowierzaniem głową. A przekonany wreszcie uśmiechnął się i rzekł:

— Ach so, jetzt verstehe ich!

Miał na myśli zapewne szalone tempo odbudowy Warszawy i ryczące dźwiękanie się z ruin oglądanego kraju. Odjeżdżając napisał w kśedze pamiątkowej: „Podziwiam rozmach socjalistycznej Polski w odbudowie zniszczonego kraju”.

Długim pasem żyznej ziemi, wzdłuż linii kolejowej Tarnów — Przemyśl, poprzez powiaty debicki, rzeszowski, łańcucki, przeworski, jarosławski i przemyski powstają w najbliższej przyszłości wzorowe zespoły wsi spółdzielczych. Ich podbudowę ideową i techniczną stanowią będą Liceum Mechaniki Rolnej w Łańcucie i Liceum Rolniczo-Spółdzielcze w Wysokiej. W samym środku spółdzielczego kompleksu, w Łańcucie, przy wspomnianym liceum powstanie potężna Stacja Maszynowo-Traktorowa — jako baza dla obsługi spółdzielni produkcyjnych oraz jako podstawa praktycznego nauczania w liceum.

Rozwój Liceum Mechaniki Rolnej, które w roku bieżącym liczy już trzystu kilkudziesięciu uczniów, daje pełną gwarancję, że spółdzielczość produkcyjna w tutejszym okręgu szybko zdobędzie potrzebne kadry wykwalifikowanych agrotechników. Taką samą gwarancję po linii administracyjno-instruktorskiej daje liceum w Wysokiej, nastawione wybitnie na zagadnienia z dziedziny rolnictwa spółdzielczego.

Mówi o tym wszystkim dyrektor Świątek, roztaczając plany, z którymi powiązał całą swą działalność pedagogiczną, społeczną i polityczną.

— Gdy mamy — powiada — raz nareszcie zacząć myśleć i działać kategoriami socjalistycznymi w rolnictwie, trzeba tym kategoriom dać jak najsolidniejszą podbudowę ideową, techniczną i naukową. Ale tego nasza szkoła i tamto liceum w Łańcucie nie potrafią. Planujemy więc w wolnych komnatkach łańcuckiego zamku zorganizować wyższą uczelnię rolniczą, opartą o wzory radzieckie, ze specjalnym uwzględnieniem wspaniałych osiągnięć Mieczurina i Łysenki. Dopiero taka uczelnia stworzyliby podstawy naszej gospodarki spółdzielczej w rolnictwie, wypracowując nie tylko nowe wartości naukowe, ale i kadry własnych Łysenków.

kol. Tomaszewski z P.Z.G.S. — Kapuśniaczek pada sobie i pada, a jakie to sprawia potoki i powodzi! On jest, wiecie, redaktorze, taki nasz chłop, specjalista od współzawodnictwa.

Właśnie ob. „specjalista” podszedł do mnie, serdecznie ściskając mą prawicę.

— Dobrze się stało, — zaczął, — żeście tu przyjechali. Słyszeliśmy już od Adama Chetnika, pochodzącego z naszej gminy, a który jechał z wami w tym samym przedziale, że pragniecie się dowiedzieć, dzięki jakim warunkom nasza spółdzielnia wybiła się na pierwsze miejsce w akcji kontraktowania żywności. Zanim wam o tym powiem, zaznajomcie się z tym, co postanowiliśmy zrobić w ramach „Czynu Przekongresowego”.

4. CZYN PRZEDKONGRESOWY ŁOMŻYCY

W związku z Kongresem Zjednoczeniowym SL i PSL w dniu 27.XI. 1949 roku zebrani na Nadwyszczajnym Walnym Zgromadzeniu Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” Kupiski w dniu 23.X.b.r. członkowie i pracownicy w ramach Czynu Przekongresowego postanowili:

1. Wykończyć odbudowę i oddać do użytku budynek dla Ośrodka Maszynowego w Łomży. Nadto zobowiązujemy się zorganizować prace O. M. tak, aby w pełni wykonywał swe zadanie w akcji niesienia pomocy małym i średniorolnym chłopom;

2. Wykonać plan dostawy tuczników na rok 1949 w 100 procentach;

3. Powiększyć stan liczebny o 700 nowych członków Gminnej Spółdzielni do końca 1949 roku.

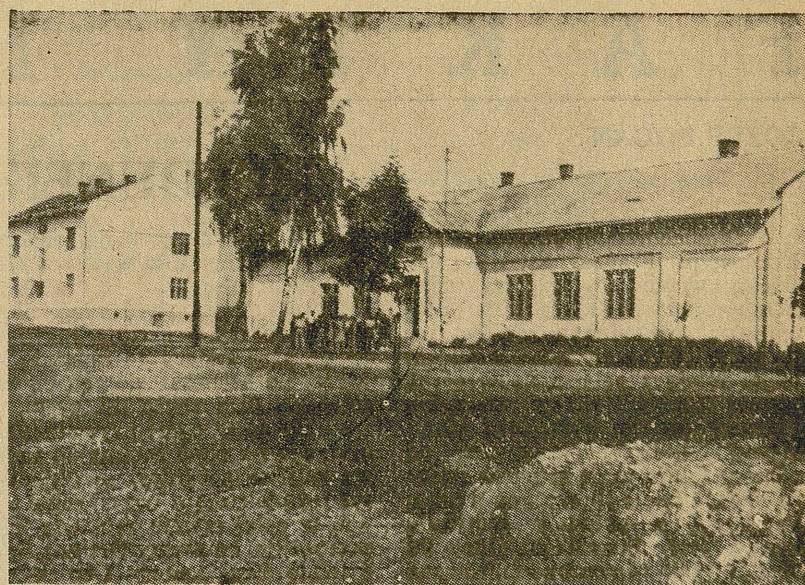
Oto jak brzmi uchwała mieszkańców gminy Kupiski, dotycząca „Czynu Przekongresowego”.

Mnie jednakże interesowała najbardziej inna rezolucja, o której słyzałem w Warszawie, mianowicie rezolucja w sprawie współzawodnictwa.

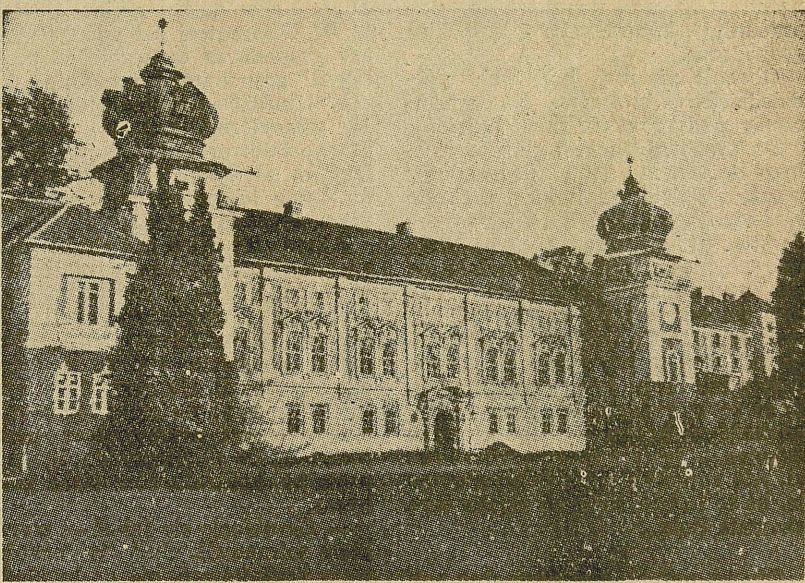
5. ROZMOWA O WSPÓŁZAWODNICTWIE

— Widzę, — rzekłem ogarniając wzrokiem budynek, — że pierwszy punkt waszej rezolucji już za kilka dni stanie się rzeczywistością. Tyle mi jednak mówiono o waszym apelu w sprawie kontraktacji żywności, że chciałem się dowiedzieć, co rozumiecie pod określeniem „współzawodnictwo”?

— Dla mnie współzawodnictwo, — mówi ob. Grabowski, — jest tym, co świadczy, że nie ma na ziemi nic silniejszego nad człowieka, lecz człowiek społecznie zorganizowanego. Bo przecież współzawodnictwo, to moim zdaniem, doskonała i najlepsza szkoła nowych zespołowych form pracy, to walka z wszelkimi skostniałymi szablami i rutynami. Widzicie, — ciągnie jakby się usprawiedliwiając, — i ja również tkwiłem kiedyś w rutynie i ja także patrzyłem



Szkoła rolniczo-społdzielcza w Wysokiej. (fot. J. Bieniek).



Zamek w Łańcucie. (fot. J. Bieniek).

— Ta myśl — kończy — napadła mnie w Kijowie podczas zwiedzania takiego właśnie zakładu, koncentracją radziecką myśl naukową w rolnictwie na terenie Ukrainy.

Właśnie w czasie wycieczki na Ukrainę odbył się wiosna rb. zgubił Świątek wątek resztki uprzedzeń i nieufności, które jak w każdym chłopie polskim tak i w nim tkwiły, stwarzając wał oporów i urazów. „Nawrócony” bezprzykładną wywyższością tamtejszych form gospodarowania rolniczego rzucił po powrocie całą, właściwą tej rogatywki duszę, pasję i olbrzymi autorytet na szalę walki o nowe formy gospodarki rolnej.

Józef Bieniek

w przeszłość, bo to była zresztą — nasza narodowa skłonność. A ludzie, żyjący przeszłością, gniją na pniu, nie są zdolni do postępu.

Na chwilę nam przerywają, bo ob. Grabowski musi wydać dyspozycje w sprawie odstawy tuczników, po czym podejmuję:

— Zanim zostałem spółdzielcą, byłem nauczycielem. W 1940 roku jako nauczyciel przebywałem w Związku Radzieckim na kursie dla inspektorów szkolnych. I tam podpatrzyłem, że ludzie radzieccy bez oglądania się w tył ciągle uparcie podążają na przód. Ale jak podążają! Właśnie drogą współzawodnictwa.

— Mówicie wyraźnie — poprosilem.

— Dobrze. Otóż w Związku Radzieckim pomyślnie rozwijające się dzieło uwidacznia się cyframi, dokonanymi osiągnięciami. Rozwija się ono dzięki samodzielnemu poczynaniu ludu pracującego, który ongiś był wyzyskiwany przez kapital, hamujący jego twórczą pracę. A teraz, usunawszy najważniejszą przeszkodę, właśnie ob. kapital, lud pracuje z zamilowaniem. To tak trudno sprzeczyć, chociaż to takie proste, dające się wyrazić w określeniu: współzawodnictwo, to połączenie umiłowania z wytwórczością.

Skłamałem głową zrozumiały, że współzawodnictwo jest ruchem oddolnym, wypływającym ze świadomości potrzeby zwiększenia produkcji bez zwiększenia nadmiernego wysiłku fizycznego, a opiera się na dobrowolnie zawartej umowie lub świadomie przyjętym zobowiązaniu przekroczenia norm wydajności celem przedterminowego wykonania planu gospodarczego, co z kolei staje się źródłem bogactwa narodowego — a więc własności mas ludowych.

Podzieliłem się tymi uwagami z ob. Grabowskim, który dodał:

— Krótko mówiąc: współzawodnictwo polega na świadomym, dobrowolnym przekroczeniu norm wydajności przy należytej jakości wykonania i o takim współzawodnictwie mówi nasza rezolucja o kontraktacji oraz skupie żywności.

6. NA KAŻDYM PUNKCIE SKUPU CO TYDZIEŃ O JEDNĄ SZUKĘ WIĘCEJ!

Pracownicy i członkowie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” Kupiski z siedzibą w Łomży zebrani na Nadwyszczajnym Walnym Zgromadzeniu w dniu 23.X.b.r. w ilości osób 650 doceniając troskę Państwa o usprawnienie planowej gospodarki mięsnej, postanawiają podjąć współzawodnictwo pracy w zakresie przedterminowego wykonania planu na II kwartał 1950 roku.

Równocześnie wzywają wszystkie gminne spółdzielnie kraju do podjęcia współzawodnictwa w akcji kontraktowania i realizowania kontrak-

Historia kołem się toczy. Wartkiem i sprawiedliwym. Odszedł gniebiel Świątek — Potocki, a jego miejsce u szczytów autorytetu społecznego zajęli Świątkowie. Aby świecić pasją twórczą w dziele tworzenia najwyższego, bo dostępnego wszystkim dobra.

Nastal w prasie polskiej chwalebny zwyczaj portretowania przodowników pracy i czczenia wyników ich wysiłku. Niechże te parę słów będzie wyrazem uznania dla złotowego przodownika ziemi rzeszowskiej, w żmudnej pracy budowania zrębow socjalizmu — gospodarczego i społecznego na wsi.

Józef Bieniek

tów oraz współzawodnictwa w skupie żywności pod hasłem: „Na każdym punkcie skupu co tydzień o jedną sztukę więcej!”

Zarazem zebrani zwracają się do Głównego Komitetu Współzawodnictwa Pracy przy CRS w Warszawie o opracowanie form organizacyjnych współzawodnictwa w kontraktowaniu i skupie żywności.

Gminna Komisja Współzawodnictwa Pracy w Rolnictwie w Kupiskach wspólnie z Zarządem gminnym i członkami ZSCh celem zwiększenia pogłowia trzody chlewnej, bydła, drobiu oraz zwiększenia plantacji roślin włókniasto-oleistych poprzez grupy hodowców i plantatorów postanowiła:

Zorganizować w każdej gromadzie na terenie gminy minimum trzy grupy producentów, w tym jedną grupę hodowców trzody chlewnej, a tym samym przekroczyć plan po linii organizacji grup na rok 1950. Grupy te będą ściśle współpracować z Gminną Spółdzielnią „Samopomoc Chłopska” w realizacji planu w kontraktowaniu i skupie żywności w 1950 roku.

GINNA KOMISJA WSPÓŁZAWODNICTWA PRACY W ROLNICTWIE WSPÓLNIE Z ZARZĄDEM GMINNYM ZWIĄZKU „SAMOPOMOC CHŁOPSKA” WZYWA DO PODJĘCIA RZUCZONEGO APELU PRZEZ WSZYSTKIE GMINNE KOMISJE WSPÓŁZAWODNICTWA PRACY W ROLNICTWIE I ZARZĄDY GMINNYCH ZSCh W CAŁEJ POLSCE LUDOWEJ!”

7. RÓŻNICA MIĘDZY WSPÓŁZAWODNICTWEM A KONKURENCJĄ

Apel „Łomżycy” zasługuje na szczególną uwagę. Już na pierwszy rzut oka jest widoczne, czym socjalistyczne współzawodnictwo pracy różni się od kapitalistycznej konkurencji.

Zapamiętajmy więc, że kapitalistyczna konkurencja, według określenia Lenina oznacza „niesychane, bestialskie zdławienie przedsiębiorczości, energii, śmiałości poczynania w masach ludności”, zaś „na szczytach drabiny społecznej oznacza również zastąpienie współzawodnictwa finansowym szalbierstwem, despotyzmem, wystugiwaniem się”.

Natomiast współzawodnictwo, to dobrowolna i sumienna, urzeczywistniana z najgorętszym zapalem praca łamania wszelkich przeszkód, zrywania zmuszających ograniczeń; to trud samodzielnego tworzenia norm oraz śmiałych poczynañ w dziedzinach, uznanych dotąd za ustalone.

Byłoby dobrze, aby o tym pamiętali odpowiedzialni referenci spraw rolnictwa, zwłaszcza w starostwach, bo wtedy unikną takich lapsusów, jak porównywanie współzawodnictwa socjalistycznego do premiowania.

Ludwik Łakomy

F A K T Y I Z D A N I A

JÓZEF POGAN

MELDUNEK OSADNIKÓW

W Otmuchowskiej okolicy na południowym krańcu powiatu nyskiego widać ze wzgórza znad Trzeboszowic dookólną, kilko-kilometrową powierzchnię pól. Przyroda miła dla oczu sprawia widok: lekko falujące pola, małe wzgórki, nizinki i łąki we wstęgi rzeczek i strumyków; ku wschodowi szumi niewielki liściasto-iglasty las, od północy faluje woda szarego jeziora, zachód ściele się wyżyną u bram Paczkowa, a południe zamkają czarne lasy Sudeckich Gór. Po okolicy gęsto rozrzucone mury osady. Zagrody duże, na ogół oprowadzone murami, domy długie, szerokie, rzadko piętrowe, nieco pokraczne w swym wyglądzie na zewnątrz, świadczą wyraźnie o poprzedniej bauerowsko - kułackiej gospodarce.

Obecnie nie ma już tych półdziedziców - bauerów. Na opuszczone osady przyszedł nowy lud.

Do Trzeboszowickiej gminy przybyło dotychczas 3100 mieszkańców z całej Polski, najwięcej z okolic Nowego Sącza. Zajęli 476 gospodarstw, przeważnie sześćo-hektarowych, powstałych z kilkudziesięciu bauerowskich posiadłości. Przybyli po pracę i po chleb, którego stale brak. To też rwa się do pracy zarówno w prywatnych gospodarstwach jak i w społecznych. Znać to w każdym ich poczynaniu, na każdym kroku — choć szczerze mówiąc — jeszcze mają pewne braki. Ale zapewne wnet je wyrównają, bo to ludzie, których ciężka wychowała dola...

Oto na przykład w niespełna rok wybudowali sposobem szarwarkowym trzy mosty (jeden całkowicie z betonu). Pierwszy na dzień Zjednoczenia Partii Robotniczych, drugi na Święto Ludowe, trzeci na uroczystości Piątej Rocznic P. K. W. N. Bez odgórnych zarządzeń, a z własnej, gromadzkiej inicjatywy. Pracowali nie tylko dniami, ale i nocami, by na wyznaczony przez siebie termin budowę zakończyć. Do ważnych na ich koncie osiągnięć należy założenie Ośrodka Maszynowego. W siedzibie gminy — Trzeboszowicach jest główny punkt, a filie w pięciu gromadach.

Aby uprawę ziemi, siew i zbiór zbóż wykonywać sprawnie z lepszymi wynikami i sprawiedliwie — mówi wójt — kobieta Maria Mar-

czyk — by tym, co mają maszyny, nie dawać okazji do wyzysku biedniejszych chłopów.

Zrobiliście na złość właścicielom koni i maszyn — żartuje. Przepadło im po parę tysięcy od zaozania hektara, po osiemset złotych od wymiślenia furi zbroja itp. zyski.

My tu w ogóle prywatnej inicjatywy na złość robimy — śmieje się wójt w spódnicę. — Sklepikarzy też nie mają u nas co robić i jeden w całej gminie zaledwie jakiś prosperuje, bo mamy Gminną Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej i siedem filii na dziewięć wsi. Chłopi doceniają znaczenie spółdzielni, to też udziałowców z dnia na dzień przybywa. Także i spółdzielnie produkcyjne w naszej gminie powstają. W Wilamowej już wiosną wszyscy gospodarze w liczbie 46 postanowili gospodarzyć wspólnie.

W Ujeźdźcu podpisał deklarację 15 gospodarzy, zaś w Śliwicach przekształcono Spółdzielnię paracjalną na Spółdzielnię Produkcyjną. Lgną tutejsi chłopi do zespołowego gospodarowania.

Akcja „H” też u nas chyba nieźle się przedstawia — mówi dalej wójt w spódnicę. — W bieżącym roku gminniacy zakontraktowali 195 procent przewidzianej normy. Z zadania należy się przy dostawie wywiązali. Na przyszły rok zakontraktowano na razie 150 procent przewidzianej normy, lecz pewni jesteśmy, że dojdziemy do 200 procent, bo kontraktorów stale przybywa.

Grzebiecie się jakoś — wyrzekłem mimowoli, choć w zasadzie wole krytykować, niż pochwalać.

Bo widzimy, że warunki życiowe układają się nam pomyślnie na przyszłość, to się i bierzemy ostro do roboty.

Grzebią się jakoś... próbują żyć po ludzku... wykują sobie przyszłość... — Prawde tych słów potwierdzają wyniki. Nie duże, nie małe. Takie na jakie ich stać. Lecz waga ich z racji osadniczej sytuacji nie jest wcale mała. Takie osiągnięcia nie byłyby może zastanawiające wśród mieszkańców centralnej Polski. Ale wśród osadników trzeba wziąć pod uwagę oddziaływanie szkodliwych zewsząd wpływów, jak choćby wrogie podsępy rodzinnej reakcji, i zachodnio-zagraniczną nagonkę przeciw naszym grani-

com na Odrze i Nysie. Że to wcale nie osłabia ducha trzeboszowickich osadników, że mają pełne zaufanie do rządu Polski Ludowej i mocną wiarę w postępowe siły świata ze Związkiem Radzieckim na czele — świadczy o tym ich obecna postawa i dotychczasowe osiągnięcia. Lecz skąd to właśnie się wzięło? — oto dość ciekawe pytanie. Odpowiedź na nie można tylko słowami pionierów trzeboszowickiej gminy. Albo raczej przykładami ich pracy społeczno-politycznej w pierwszych początkach osadnictwa. Bo nim posługują się Ośrodki Maszynowe, Spółdzielnie, radiofonizacja, wybudowanie mosty itp. — pierw trzeba było zachęcić społeczeństwo do tych przedsięwzięć, uświadomić, porwać za sobą na fale nowych przeobrażeń. A tego nie zrobi się od razu jakimś paroma przemówieniami.

Posłuchajmy: Działaciami społeczno - politycznymi byli w początkach osadnictwa i są nadal: wójt gminy Marcey Maria, I sekretarz gminnego Komitetu PZPR — Jarmarkowicz Józef, przewodniczący Gminnego Zarządu PZPR — Figiel Marian, komendantka Gminnego Hufca SP — Walenka Maria, kierownik Domu Społeczno-Oświatowego — Czerpak Kazimierz, bibliotekarka — Nowakówna Anna, V-ce Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej — Białoskórski Józef i paru jeszcze innych. Są oni dziećmi małych rodzin chłopskich lub robotników. Oprócz Nowakówny — poza siedmioma oddziałami szkoły powszechnej nie zdobyli większego wykształcenia, chyba samouctwem. Młodość schodziła im na służbę, później wśród represji policyjnych i aresztowań, później jeszcze w konspiracyjnej walce z hitleryzmem. Tak się „harowali” do dalszych działań społecznych.

Po wojnie otwiera im się droga: do pracy w przemyśle lub na osadnictwo. Wybrali to drugie i właśnie pierwsi do Trzeboszowic przybyli. Wiadomo, tacy przedwojenni i wojenni „przestępcy” nie usiedzą

spokojnie — muszą coś robić społecznie. Taka już ich natura. Zorganizowali koło PPR, ZWM, Samopomocy Chłopskiej i Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Na razie ciężko szła nam praca, ale się trwało przy niej uporczywie — opowiada Figiel Marian, przewodniczący Gminnego Zarządu ZMP. — I dalej będzie się wytrwale pracować. Ze Figiel i inni pracowali wytrwale, niech o tym zaświadczy fakt, że w całej gminie nie dopuszczono do zorganizowania młodzieży w Sodalizacji Mariańskiej czy w innej klarykalnej placówce. Natomiast koła ZMP są w każdej wsi. W całej gminie jest 250 członków, 250 na 3100 mieszkańców — to przecież nie byle co! Czterech prelegentów z Gminnego Zarządu obsługuje terenowe koła wygłaszając dwa razy w miesiącu odczyty i referaty. Toteż nie dziwnego, że nowi członkowie stale napływają, że Ludowe Zespoły Sportowe liczą 190 członków, że nigdzie nie brak świetlicy i biblioteczki.

Są też w każdej wsi liczne koła PZPR, SL, Samopomocy Chłopskiej, Koła Gospodyń Wiejskich i Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Ich udziału w pracach społecznej zbyteczności wliczać. Kurs szkolenia ideologicznego prowadzi zarówno PZPR jak i ZMP. Wprawdzie SL-owcy i częściowo Samopomocowcy (ci bezpartyjni) są mniej aktywni, ale za to ZMP-owcy i PZPR-owcy czują się nad całością spraw i tamtych też popędzają. Idą naprzód, że nawet ksiądz nie ma odwagi stawiać przeszkód, objawiając jedynie niechęć. Np. zaproszony na posiedzenie Gminnej Rady Narodowej dla omówienia ekskomuniki papieskiej — nie raczył przyjechać.

— Ale weź go licho — powiadają trzeboszowiccy działacze. — Ekskomunika papieska nie robiła na tutejszej ludności nikajkiego wrażenia. A „cud lubelski” spotkał się tylko z ironią i drwiną.

JÓZEF POGAN

KRUPA ANTONI

KADRY DLA GROMAD I GMIN

Szkoła spółdzielcza dla Dorosłych w Kryńcach koło Tomaszowa Lubelskiego mieści się w dawnym pałacu ziemianiskim. Uczy się tu młodzież w wieku od 18-tu do 28-miu lat, przeważnie synowie i córki biednych i średniorolnych chłopów, młodzież robotnicza i dzieci uboższej inteligencji pracującej — wszyscy więc ci, którym kapitalistyczny ustroj i miniona wojna nie pozwoliły zdobywać wiedzy.

Nasza spółdzielcza szkoła stawia sobie za cel — wyrobienie sprawności gospodarczej wśród młodzieży, umiejętność gospodarowania majątkiem społecznym. Mówiąc konkretnie, przygotowuje absolwentów do pracy w przedsiębiorstwach obrotu towarowego, przez wychowanie ogólne, oparte na naukowym, materialistycznym światopoglądzie i przez nauczanie przedmiotów zawodowych jak organizacja i technika handlu uspołecznionego, księgowość, towaroznawstwo, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa itp.

W bieżącym roku szkolnym 1949-1950 mieliśmy o 300 proc. więcej zgłoszeń niż miejsce. Wielki napływ młodzieży do szkoły spółdzielczej w Kryńcach tłumaczy się tym, że na terenach Polski południowo - wschodniej brak jest szkół tego rodzaju. Jest jeszcze jedna, ważniejsza przyczyna masowego napływu kandydatów do Kryńca. Nasi wychowankowie bardzo szybko stają się autorytetami w środowisku wiejskim. Pracują oni przeważnie w Gminnych Spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej. Kierownicy ogólni, handlowi, magazynierzy, kierownicy sklepów samopomocowych w bliźszej i dalszej okolicy — to bardzo często byli uczniowie Kryńskiej szkoły. Perspektywa pracy w spółdzielniach samopomocowych powoduje, iż z roku na rok coraz liczniejsze zastępy chłopskiej młodzieży zgłaszają się do szkoły.

Szkoła stara się dać naszej młodzieży nowe, odpowiednie do potrzeb, nastawienie społeczne. Program nauczania przygotowuje do wyższych form gospodarowania.

Kierownictwo szkoły działa w ścisłym porozumieniu z władzami Związku Samopomocy Chłopskiej i orientuje się dokładnie w zapotrzebowaniu na wykwalifikowany personel, zgłaszanym przez rozmaite instytucje samopomocowe. Nie chodzi tu tylko o księgowych, magazynierów, sklepowych czy kierowników gminnych spółdzielni. Uczniowie pracują także w ośrodkach maszynowych, Państwowych Majątkach Rolnych, uczestnicząc w takich instytucjach kontroli społecznej na terenie gromad, jak Komitety Sklepowe, komitety założycielskie dla spraw elektryfikacji, czy radiofonizacji. Ostatnio wychowankowie zgłosili chęć dyskusowania statutów dla spółdzielni produkcyjnych.

Na III-cim Zjeździe Z. S. Ch. (marzec 1949) mówił Stefan Ignar odcinając minione lata pracy Samopomocy Chłopskiej: „Za słabe mieliśmy jeszcze nasze kadry produkcyjne w gromadzie... Bogacie

wykształceni w szkołach rolniczych, prenumerujący gazety, a równocześnie trzymający w swych kieszeniach gromadzie, sabotowali skutecznie działalność Z. S. Ch... Gromady pojedyncze, jak wiemy, były do ostatnich lat bardzo luźno powiązane z życiem ogólnopolskim. Ludność poszczególnych wsi tworzyła grupę lokalno-sąsiedzką, powiązaną stosunkami klienteli pomiędzy biednymi i bogatymi”.

W Kryńskiej szkole kształcą się dzieci biednych chłopów. Stana się oni działaczami, których zadaniem będzie likwidowanie przy pomocy działania społecznego opartego o zdobycie nauki tradycyjnego stosunku klienteli, polegającego na zależności biedoty wiejskiej od bogatych gospodarzy. Jest to zadanie rewolucyjne, a rewolucja zaczyna się walką o przemianę w stosunkach produkcyjnych. Dlatego właśnie program nauczania tak szeroko uwzględnia przygotowanie młodzieży, jako przyszłych przodków gminnego i gromadzkiego życia.

Koło ZMP przy szkole „pobudziło do życia” młodzież okolicznych wiosek. Uczniowie zapraszają stale młodzież wiejską na urządzane przez siebie akademie, wieczory dyskusyjne, koła prasowe. Szkoła Spółdzielcza w Kryńcach przygotowuje coraz lepsze pod względem politycznym i zawodowym kadry przodowników w okolicznych gminach i gromadach.

KSIAŻKI NADESŁANE

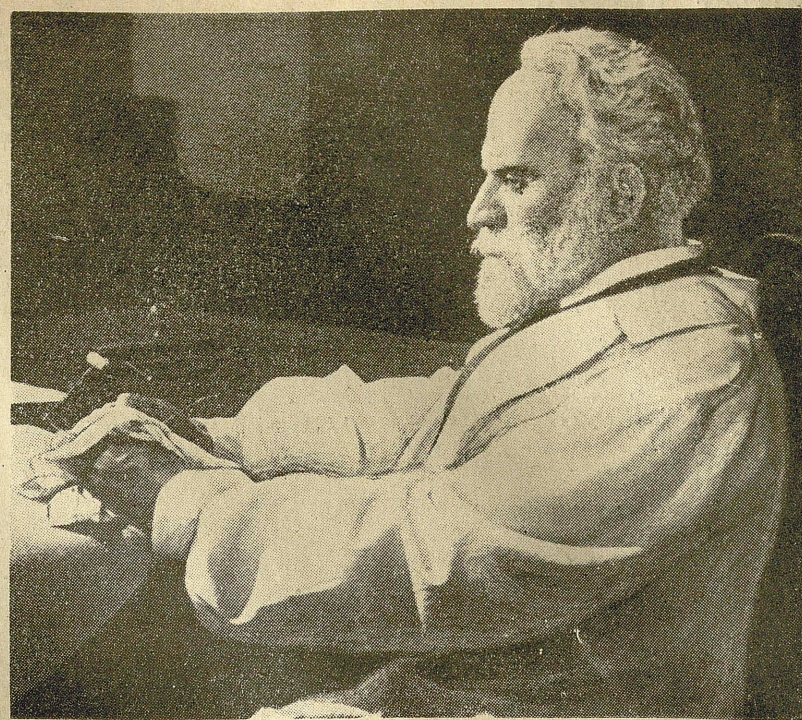
Wł. Niemcew — Złote dno — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 102.
W. Sapurin — Tajemnica zniknięcia inż. Bobrowa — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 44.
W. Markow — Radio wczoraj i dziś — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 88.
Al. Studziński — Wąwóz Batyriar — Dziel. — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 94.
Wiktor Woroszyński — Noc Komunarda — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 33.
Janina Broniewska — Krystek z Warszawy — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 165.
Antoni Makarenko — Poemat Pedagogiczny — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 115.
M. Derezycki — Modelarstwo jachtowe — wyd. „Prasa Wojskowa”, str. 151.
Jarosław Podrouzek — Mileczka dzieci — wyd. „Czytelnik”, str. 150.
Iwan Turgieniew — Opowiadania — wyd. „Czytelnik”, str. 110.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76. WYD.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA Starynkiewicza 7.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6841 z zaznaczeniem „za tlv. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5.
B-92340



Z filmu o Iwanie Pawłowie.

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

Film o Pawłowie

Film biograficzny posiada w Związku Radzieckim bardzo bogatą i artystycznie niezmiernie dojrzałą tradycję. Do tego gatunku filmowego sięgali najwybitniejsi radzieccy realizatorzy, tacy, jak Eisenstein, Pudowkin, Pietrow — tworząc dzieła o szczytowym poziomie w kinematografii światowej. Eisenstein nakreślił przecież „Aleksandra Newskiego”, Pudowkin „Admirala Nachimowa”, Pietrow znakomitego „Piotra I-go”. Filmy te ukazywały wybitne jednostki działające w historii na tle epoki i społeczeństwa, w obiektywnej, zgodnej z rzeczywistością historyczną, interpretacji politycznej. Ta właśnie prawda politycznego ujęcia dawała zawsze twór o wysokiej dojrzałości artystycznej. Oświetlenie zagadnienia i postaci refleksorem materializmu dialektycznego przesądzało w dużej mierze o artystycznej doskonałości filmu. Na trzech wymienionych filmach widać to wyraźnie, może szczególnie sugestywnie i przekonująco na wspaniale zakreślonym obrazie rodzenia się kapitalistycznych elementów w gospodarce feudalno-pańszczyźnianej Rosji za Piotra Wielkiego. Pietrow w swoim historycznym filmie dzięki tak szeroko odmalowanej zawartości społeczno-gospodarczej epoki otrzymuje w konsekwencji niezwykle pełny i naturalny wizerunek wielkiego przeobraźcy — szlachecko-bojarskiej Rosji.

Wyprodukowany w r. 1949 „Pawłowi” („Życie dla nauki”), wyświetlany w Polsce w ramach Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, jest świeżym dowodem wysokiej jakości i poziomu kultury radzieckiej na odcinku sztuki filmowej, na odcinku filmu biograficznego.

Podstawą umiętnego filmowo rozwiązaną biografii wielkiego fi-

zjologa — jest bezspornie scenariusz M. Papawy. Ustrzeżli on film od monologowych i dialogowych dłużyzn, wszystkie rozmowy uczynił naturalnymi i szczerymi, zapoznanie widza z odkryciami Pawłowa rozwiązał w sposób jasny, plastyczny i obrazowy, sylwetkę zaś i życie uczonoego przedstawił żywo i interesująco.

W rozmowie Pawłowa z Gorkim zarysowuje się wyzyskujący jeszcze i podejrzliwy stosunek do władzy radzieckiej, nieufny stosunek naukowca, który czeka na język faktów. A przyszły i fakty. Do czasu spotkania z Kirowem, przed wyjazdem na międzynarodowy kongres fizjologów w Rzymie, Pawłowowi, skrótnemu zbieraczowi danych faktycznych, rzeczywistość radziecka zdawała już dostarczyć bogaty walnarz czynów.

Trzeźwe, materialistyczne badania genialnego fizjologa zaprowadziły go od innej strony do wspólnej z bolszewikami platformy. Prócz materialistycznej i dialektycznej podstawy, z bolszewikami łączy go jeszcze coś więcej, bez czego ani ich, ani jego droga nie weszłaby na tory realizacji; potrzebny czynnik entuzjazmu, twórczej wiary — socjalistycznego romantyzmu. Bolszewicy marzą o zbudowaniu lepszego człowieka i szczęśliwej ludzkości i budują wytrwale, uparcie. A i Pawłow podczas swej pracy naukowej kreśli wielkie porwijące marzenia. Marzenia, które uskrzydlały jego zapal i wytężyły kierunki pracy. W ofiarnej służbie człowieka, w pracy dla ludzkości zbiegają się wyśiki działacza-komunisty i uczonoego.

Jak doniosła prasa polska, reżyser Grzegorz Roszał w rozmowach podkreślał wagę kolektywności, jako czynnika, który zdecydował o wartości nakręcanego filmu. Na wysoki walor artystyczny wpłynęła zwłaszcza współpraca z odtwórcą roli tytułowej A. Borysowem. Jego rzeczywiste niedziennie sugestywna i pełna naturalnej prostoty gra — zasłużyła sobie na pierwszą nagrodę na sierpniowym festiwalu w Marińskich Łaźniach.

W sumie powstał film, urzekający widów postacią wielkiego uczonoego i humanisty-fizjologa, który postawił sobie za zadanie: wyjaśnić człowiekowi — człowieka.

Muzyka Kabalewskiego dobrze ilustruje bogatą, dramatyczną akcję filmu. Władysław Leszczyński

KOMUNIKAT

dla uczestników konkursu na „REPORTAŻ O WSI”

(dokończenie z Nr. 48).

Województwo Szczecińskie:

54. Borek, pow. Kołobrzeg (zespół artystyczny).

55. Chociwel, pow. Stargard (biblioteka).

56. Dobra, pow. Nowogard (biblioteka).

57. Grzmiąca, pow. Szczecinek (świetlica).

58. Pipiany, pow. Pyrzyce (chór).

59. Pacholeta, pow. Gryfino (chór).

60. Pilichowo, pow. Szczecin (zespół artystyczny).

61. Polnica, pow. Człuchów (świetlica).

62. Rzecznica, pow. Człuchów (zespół artystyczny).

Województwo Warszawskie:

63. Błonie, pow. Grodzisk (chór).

64. Bodzanów, pow. Płock (zespół artystyczny).

65. Grodzisk, gm. Sabnie, pow. Sołkół (zespół artystyczny).

66. Nowa Wieś, gm. Kudelczyn, pow. Sołkół (zespół samokształceniowy).

67. Ślubice, pow. Gostynin (chór).

68. Tchorznica, gm. Sabnie, pow. Sołkół (zespół samokształceniowy).

Województwo Wrocławskie:

69. Bąkowie, pow. Namysłów (chór).

70. Barycz, pow. Jawor (biblioteka).

71. Lasowice, pow. Legnica (zespół teatralny).

72. Mirków, pow. Olesnica (chór).

73. Różanka, pow. Bystrzyca (zespół teatralny).

74. Stolec, pow. Ząbkowice Śląskie (świetlica).

75. Stopczyce, pow. Wrocław.